CENA 20 ZŁ

W numerze: Władysław Jan Grabski odpowiada krytykom

CZYTELNIK

Odra tygodnik

WROCŁAW — KATOWICE

NUMER 6 (115) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 8 LUTEGO 1948 ROKU ROK IV

BIBLIOTEKA OGÓLNOKSZTAŁCĄCA NAUKOWA W GDYNI WYŻSZA SZKOŁA HANDLU MORSKIEGO

WROCŁAW
— miasto nie dostrzeżone

Aleksandra Wejchertowa — Wratislavia

Stanisław Dawski — Uniwersytet

Jan Łobodzki — Ostrów Piaskowy

Stanisław Dawski — Wybrzeże oławskie

Tadeusz Ptaszycki — Targowisko

Dobrosław Czajka — Ulica św. Jadwigi

Stanisław Dawski — Kościół Św. Krzyża

Pokaz rysunków nadesłanych na konkurs Stowarzyszenia Architektów R. P. we Wrocławiu zasługuje na uwagę już choćby ze względu na ideę i cele konkursu, który te prace zgromadził.

Konkurs na rysunki o temacie wrocławskim, pomimo rozpisania i terminu w okresie mało sprzyjającym studiom w terenie (październik — listopad) znalazł pewien odźwięk w ośrodkach plastyków nawet spoza terenu samego Wrocławia. Jednakże brak prac Kulisiewicza czy Rzepińskiego, brak masowego udziału plastyków i architektów w tym konkursie wydaje się potwierdzać tezę, że Wrocław jako nowe źródło inspiracji malarskiej czy graficznej, jest dla ogółu naszych artystów-plastyków miastem n i e d o s t r z e ż o n y m.

A przecież właśnie w wypadku Wrocławia, plastyk ma tę szczęśliwą okazję swoimi spojrzeniami, swoim widzeniem i przeżyciem kształtu miasta, torować drogę spojrzeniom społeczeństwa, kierować oczy mas na historyczną, a w budownictwie miasta wyrażoną treść stolicy Ziem Odzyskanych. Właśnie w wypadku Wrocławia ma plastyk tę szczęśliwą okazję kształtowania na nowo, po polsku, nowego wizerunku plastycznego miasta słowiańskiego, wprowadzenia tego wizerunku poprzez estetyczne wzruszenie w zasięg świadomości społecznej i indywidualnej, w zespół wizerunków żyjących w nas już zdawna: wizerunków Krakowa, Warszawy czy Poznania. Ta wypracowana przez plastyków i przejmowana przez społeczeństwo plastyczna wizja miasta jest niezmiernie ważnym elementem wyjściowym dla wszelkich prac związanych z kształtowaniem, ważnym elementem podstawowym dla wszelkich prac związanych z kształtowaniem, odbudową i przebudową Wrocławia. Nie tylko dlatego, że nie można pracować nad kształtowaniem miasta, nie mając jakiegoś wyjściowego obrazu-wizerunku miasta; także dlatego, że wypracowanie tego podstawowego dla wyobraźni wizerunku miasta stanowi pierwsze i decydujące przezwyciężenie koszmaru ruin, jakie nam daje tzw. pierwsze wrażenie. Im trafniejszy w charakterystyce będzie ten wizerunek, im jaśniej będzie wyrażony, tym lepszą stanowić on będzie podstawę dla harmonii tego, co w mieście i dla miasta tworzą urbaniści, architekci, rzeźbiarze i malarze, ogrodnicy i inżynierzy. Tym realniejsze będzie powstawanie tego, co jedni nazwą „stylem", drudzy „rodzajem", co zgodnie dla wszystkich będzie jeszcze jednym rozerwanym ogniwem, które nasz Wrocław przykuwało do Germanii.

Już te rozważania nasuwają wniosek, że idea organizowania masowego obcowania plastyków z Wrocławiem jako tematem plastycznym powinna być realizowana z całą świadomością ważności tej sprawy — czyli mówiąc prościej, powinna znaleźć poparcie finansowe czynników rządowych i wojewódzkich. Te same rozważania każą cieszyć się tymi kilkunastu rysunkami, które ze stu kilkudziesięciu, jury konkursu pod przewodnictwem dyrektora P. W. S. S. P. Gepperta zakwalifikowało do nagród i zakupów.

A więc pełne lekkości i o wysokiej klasie graficznej rysunki Stanisława Dawskiego (Z. Z. P. A. P. Wrocław — I nagroda), żywo przypominające Noakowskiego; szkice Dobrosława Czajki — II nagroda; studia czarno-białe Łobodzkiego — III nagroda (obaj z S. A. R. P. Wrocław) i z dużym smakiem wykonana winieta „Wratislavia" Wejchertowej (Warszawa) — IV nagroda.

Michał Jassem.

WILHELM SZEWCZYK

Popioły w kościele św. Anny

Kto pierwszy zapalił piwonię ognia
u ołtarza zgiętego pod ciałem anioła
z żółtym paskiem na biodrach i z okiem wybitym
włócznią ministranta.

Tłusty anioł odleciał. Jak przez witraż
czerwono łyskający o zachodzie patrząc,
azali mszalne wino stygnące w kielichu
podpalaczom gardła poparzy, że zasną.

Wnoszono księgi. Robotnice z fabryki mydła
spalonej wczoraj od bomby bardziej niż zwykle kruchej
podciągając spodnie żołnierskie na zwiędłych brzuchach
niosły książki z biblioteki, którą wiatr rozłupał
palcem mknącym przez światy szybciej od filozofii.

Kolumnom cieplej od ksiąg i barokowym
nietoperzom wiązań, mroku i pajęczyn,
już jak w lesie dyluwialnym gdy kamień
skryje wnętrze świata. Na stu tomach
kładł wystygłe piersi św. Tomasz
niewierny i smutny.

Podpalaczu, jakże ciężko i wąsko u drzwi.
Dmucha Tomasz w papieros: zgaś,
dmucha w usta: zamknij, z nich alkohol
pamięć z każdym wyciska tchem,
smród który na kartach ksiąg pokładłych w trwodze
czarny liszaj zostawia.

Podpalaczu, schylony robotniku, ogień
wydobył twoją twarz z wnętrza i poznałem cię,
w alkoholicznej łunie idący
tyłem do drzwi, złożonych z szacunkiem
przez mistrza Goldoniego.

Teraz popioły opadły choć przez sufit droga jest wolna,
spinki okładzin pod stopą, ziarno popiołu sypkie,
rdza wiatru na ołtarzu przyschła,
to krew powietrza ranionego wieczór
z pistoletu którego nie ma.

I dziwią się wrocławianki dziewczyny mądre
że gdy w wieczór otwierają sukienki przez głowę
popiół sypie się im na włosy. Zapomniały,
że chodziły tu oglądać kościoły,
na wysokich wirując obcasach
śmiejąc się, śmiejąc, nie płacząc
ani jednej sekundy w ten dzień.

EDMUND OSMAŃCZYK

Dopiski do historii

I.

Byłem ostatnio na Zjeździe Polskiego Związku Zachodniego. Na 700 delegatów spotkałem kilkudziesięciu dawnych działaczy i działaczek Związku Polaków w Niemczech. Wielu zobaczyłem po raz pierwszy od lat ośmiu. Wspomnienia napłynęły gorącą falą „tamtych" lat walki. I pomyślałem wtedy, że czas już chyba rozpocząć spisywanie historii tych lat dwudziestu między dwoma wojnami, historię nieodzyskanych wówczas a odzyskanych dziś ziem. Żyją jeszcze świadkowie, należy więc zebrać od nich wszystkie fakty, które zapisane są tylko w ich pamięci. — Myślę, że „Odra" winna ogłosić konkurs na „Pamiętnik Rodlaka". Piszę „Rodlaka", nie „autochtona", bo to słowo „autochton" jest i obce, i brzydkie. Taki konkurs mógłby dać wiele materiału przyszłemu historykowi. Myślę, że wtedy zniknęłyby te frazesowe ogólniki „o bohaterskiej walce ludu polskiego osiadłego od wieków nad Odrą i Nysą", ogólniki, jakie spotkać można w każdym wydawnictwie o Ziemiach Odzyskanych. Miast frazesów cytowano by miejscowości i nazwiska ludzi, tak jak to stało się w Wielkopolsce, gdzie historia lat walki jest żywą w pamięci społeczeństwa.

Drugą sprawą, którą by należało ruszyć, to stworzenie archiwum historycznego Polactwa w Niemczech z lat 1919—1945. To archiwum mieścić się winno — moim zdaniem — we Wrocławiu przy Uniwersytecie. Czemu tam? Po prostu dlatego, że Wrocław był zawsze punktem centralnym Ziem Nadodrzańskich i — zaświadczą to ci co przeżyli — Wrocław był najgłębszą ambicją Rady Naczelnej Związku Polaków w Niemczech, ambicją odrodzenia we Wrocławiu starej kuźni polskości. Tam miała stanąć główna drukarnia polska, tam była bursa akademicka, tam miał być Bank Słowiański, tam miała się przenieść Centrala Związku Polaków w Niemczech, i tam — to był najśmielszy postulat — miał powstać Uniwersytet Polski i Polska Akademia Duchowna. Niemcy paraliżowali jak mogli próby odradzania polskości Wrocławia. Przeniesienie Związku Spółdzielni Polskich w Niemczech i „Młodego Polaka" i „Małego Polaka" do Wrocławia wywołało natychmiastowe ataki prasy niemieckiej. Nie mniej krok po kroku życie całego Polactwa w Niemczech poczynało się coraz bardziej centralizować we Wrocławiu. — I dlatego myślę, że ten „wrocławski kierunek" winien być upamiętniony przez to, że „Archiwum Polactwa spod znaku Rodła" winno się mieścić przy tym wymarzonym Polskim Uniwersytecie we Wrocławiu.

Materiału archiwalnego zachowało się jeszcze wiele. Do prywatnych ocalałych zbiorów doszły akta rejencji gestapo, odnajdywane obecnie na Ziemiach Odzyskanych. To wszystko należało by zebrać w jednym miejscu i udostępnić historykom.

II.

Kilka dni po Zjeździe P. Z. Z. byłem w Warszawie, gdzie spotkałem ku wielkiej mej radości, po raz pierwszy po wojnie, Gustawa Morcinka. W „tamtych" latach książki Morcinka dla żyjących na nieodzyskanych ziemiach Polaków, to były najpiękniejsze pozdrowienia z Polski. Myślę, że i to przyszły historyk wymierzyć będzie potrafił, jaką zasługę dla polskości Opolszczyzny wypracowały sobie książki Morcinka. Sam mógłbym wiele o tym powiedzieć, mógłby coś o tym napisać Janek Łangowski, który drukował „Wyrąbany chodnik" w Nowinach Opolskich, mogłaby coś rzec Hela Lehrówna, która redagując „Młodego Polaka w Niemczech", co trochę dawała coś Morcinka, bo go najchętniej czytano, mogliby i inni wiele o tej Morcinkowej pomocy powiedzieć. Zbyt szybko — zdaje mi się — zapomniano, że Gustaw Morcinek pierwszy w artystyczną prozę zamknął staropolską mowę ludu śląskiego. Dla tych, co mówili według Niemców „wasserpolnisch", to było przeżycie nielada ujrzeć książki tym to językiem w Polsce pisane i w Polsce nagradzane.

Z Gustawem Morcinkiem widzieliśmy się po raz ostatni na wiosnę 1939 roku. Przyjechał wtedy do nas do Berlina, był przedtem na Opolszczyźnie i we Wrocławiu, jechał dalej na Westfalię. Chciał poznać osobiście to Polactwo uparte, nieugięte, wierzące, że — jak mówił ks. Domański — „Pan Bóg bez przyczyny nas na tych ziemiach ojców naszych nie zostawił". — Z tych dni spędzonych wspólnie w Berlinie przypomniał mi się teraz w Warszawie ten drobny szczegół, jak to roztomiły Morcinek głową kręcił nad nazwą „Słubice", której używania w druku zabroniło naszej polskiej prasie w Niemczech właśnie w tym czasie gestapo.

— A skąd wy wiecie — pytał — że Frankfurt nad Odrą nazywał się kiedyś Słubice?

— No, starzy Polacy zawsze tak mówili, to i my tak mówimy — odpowiedział Wilk.

— To wy wszystkie nazwy stare pamiętacie? — pytał niewierząco gość „zza kordonu".

— A pewno — odrzekł znów Wilk.

I wtedy Gustaw Morcinek począł egzaminować wychowanka bytomskiego gimnazjum z polskiej geografii ziem dziś odzyskanych i wydziwić się nie mógł, że to co już w starszym pokoleniu w Państwie Polskim zapomniano, żyje tu w Państwie Niemieckim nie zapomniane w najmłodszym polskim pokoleniu.

Gustaw Morcinek książki zamierzonej o Polactwie spod znaku Rodła nie zdążył już napisać. Wybuchła wojna i... o złotym sercu Gustlik powędrował na długie ciężkie pięć lat do koncentracyjnego obozu. Myślę jednak, że jeśli historyk „tamtych" lat szukać będzie świadków, to powinien nie pominąć Gustawa Morcinka, który mógłby zaświadczyć o tym, jak żywą była na wiosnę 1939 roku wiara wśród Polaków w Niemczech, że Polska sięgnie po Zgorzelec, Słubice i Szczecin.

III.

Na wiosnę 1939 r. wierzyć w odmianę — to może się wydać naturalnym odruchem serca, czującego grozę zbliżającej się wojny. Przypomnę więc fakt inny z roku 1932, słynny wówczas proces nauczyciela polskiego, obywatela pruskiego, Jana Bauera, sekretarza Związku Polaków w Niemczech w Bytowie na Kaszubach (nb. czy w Bytowie jest dziś choćby ulica imienia Bauera, który zginął w roku 1943 w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen?). Wówczas Jan Bauer skazany został na 12 miesięcy więzienia. Za co? Za to, że na zebraniu Towarzystwa Młodzieży Polsko-Katolickiej w Bytowie w roku 1930 powiedział co następuje:

„Ziemia, którą zamieszkujemy zroszona jest krwią polską. Ongiś granica Polski sięgała od Odry do Szczecina. Trwajmy przy ziemi i mowie ojców naszych. Dzisiejsza granica nie jest ważna. Granica Polski to Odra i Szczecin, a wiernością i wytrwałością możemy ją odzyskać."

IV.

Znaleźć możnaby takich przykładów wiele. Toż czeka na osobną wspaniałą monografię Wielka Dąbrówka pod Zbąszyniem, Zakrzewo ks. Domańskiego, Odmęt ks. Koziołka. Pewnie, że to są tylko dopiski do historii. Aby sprawdziły się przeczucia ludu polskiego w Nadodrzu potrzeba było wielkich międzynarodowych zmagań i przemian. Wydaje mi się jednak, że w tej Polsce, w której lud ma rządzić, przez lud i dla ludu historia l u d u polskiego w Nadodrzu jest dopiskiem godnym zachowania i godnym pamięci całego narodu polskiego.

Edmund Osmańczyk.

Co robią Niemcy

Z dyskusji nad kulturą polską — Ex Polonia lux — Czemu nie chcemy wygrać ostatniej bitwy?

JEST rzeczą pewną, że stoimy przed nowym okresem stosunków polsko - niemieckich. Na gruncie politycznym uzgodniliśmy jedno: miarą naszego stosunku do Niemiec nie może być nienawiść ani negacja wszystkiego, co niemieckie. Na gruncie gospodarczym stosunki zostały już nawiązane, na razie z radziecką strefą okupacyjną. Nieśmiałe próby ożywienia pewnej wspólnej platformy kulturalnej, rozpoczęte od niedawna, zaczynają składać się na pewien program, nad którym zastanawiano się już u nas niejeden raz, a zastanawiają się także sami Niemcy. Organ Kultur bundu „Sonntag" zamieścił przed trzema miesiącami artykuł p. t. „Niemcy i Polska", w którym stosunki kulturalne niemiecko-polskie uznano za potrzebę chwili, niezależną od polityki dnia, nieuporządkowanej jeszcze do tego stopnia, by mogła ogarnąć wszystkie dziedziny sąsiedzkiego bytowania dwóch narodów. Artykuł wywołał ciekawą dyskusję, niektóre listy publikowane na łamach „Sonntagu" przyniosły miłe głosy o Polsce i jej kulturze. Niejaki prof. dr H. M. z Berlina-Wilmersdorfu zdobył się w swej odpowiedzi na wiele obiektywizmu. „Jestem przekonany — pisze korespondent — że do zmiany niemieckiego stanowiska, negatywnego i pełnego zastrzeżeń, zmiany, która stała się koniecznie potrzebną, przyczynić się mogą w pierwszym rzędzie informacje co do wysokiego poziomu produktów ducha polskiego, i to nie tylko w literaturze, ale także w dziedzinach nauki (Curie, Kopernik), sztuk plastycznych (Wit Stwosz) i muzyki (Chopin, Szymanowski, Paderewski itd.)". Korespondent wykazał niemało odwagi, „zwracając" Polsce Kopernika i Stwosza, nic też dziwnego, że skromna ta jego wypowiedź na łamach „Sonntagu" spotkała się z wieloma złośliwostkami na łamach prowincjonalnej prasy stref zachodnich.

PRAGNIENIE współżycia kulturalnego z Polską jest zwłaszcza silne we wschodnich Niemczech. Niemcy zachodnie odgradzają się od wschodu systematycznie, pragną się upodobnić pod względem kulturalnym do wzorów amerykańskich, angielskich czy francuskich. Dla nas, rzecz jasna, cenniejsze są głosy ze strefy wschodniej, nie tylko że jest strefą sąsiedzką, ale i dlatego, że mieszka tu wielu wysiedleńców zza Odry i Nysy, z zasady nastawionych negatywnie lub wręcz wrogo do wszystkiego co polskie. Jednolitość polityczna, do której dąży się w tej części Niemiec, pozwoli na planowanie kulturalne, w którym sprawy polsko-niemieckie będą miały swój niemały wymiar. Ostatnie występy Ewy Bandrowskiej-Turskiej i Andrzeja Panufnika w Berlinie, wystawa grafiki polskiej, były w geografii kulturalnej Berlina czymś zupełnie nowym, a pisma niemieckie nie taiły tego, że i rewelacyjnym. Przekonało nas to o słuszności i potrzebie tego rodzaju eksperymentów (bo jak na razie poza eksperymentowanie w dziedzinie stosunków kulturalnych polsko-niemieckich nie wychodzimy).

Znany tłumacz dzieł poetyckich na niemiecki prof. Wypler, przygotował do druku antologię polskiej poezji wojennej w języku niemieckim; rzecz ta wydana drukiem z pewnością będzie jednym z dalszych cennych ogniw poznawania kultury polskiej w Niemczech.

SĄDZĘ, że jest rzeczą potrzebną nakreślenie planu ofensywy kulturalnej polskiej na Niemcy. Przy dzisiejszym chaosie niemieckim, przy braku cenniejszych rodzimych wartości kulturalnych hasło ex Polonia lux, jakkolwiek by brzmiało buńczucznie, może spełniać swą misję właśnie na terenie Niemiec. Nieraz już pisałem o konieczności stworzenia periodycznego pisma polskiego w języku niemieckim na terenie Berlina, przeznaczonego dla czytelników niemieckich, a informującego obiektywnie o kulturze polskiej, publikującego systematycznie cenne prace polskie w przekładach, odnoszące się nie tylko do tematyki polskiej. Nie mam już ochoty powtarzać w kółko tej samej myśli, a przykro mi jedynie, że dotąd po ministerstwach nikt się nie zainteresował szczegółami takiego przedsięwzięcia. Pieniędzy na to nie należałoby żałować. Korzyść w dziedzinie politycznej byłaby wielka. Dziwię się także, że referat prasowy Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie, pracujący zresztą dość pilnie, nie wpadł dotąd na myśl zredagowania specjalnego polskiego numeru takiego np. „Sonntagu" lub „Weltbühne", wykazującej wielkie zainteresowanie dla spraw polskich, wyrażające się m. in. w fakcie zaproszenia grupy „Odry"

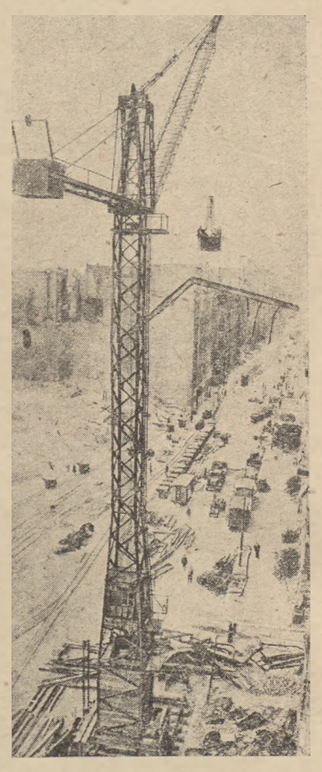

Tak odbudowuje się Berlin

do współpracy na tematy polskie. Wiele elementów naszego dzisiejszego życia kulturalnego, wydających się nam podrzędnymi lub mało ważnymi, dla Niemców może mieć znaczenie pierwszorzędne, a egzotyczny smaczek tematu przynieść może szybki rezonans.

GDY wszystkie narody zainteresowane w rozwoju Niemiec organizują na terenie Niemiec swoje coraz liczniejsze placówki propagandowo - kulturalne, nie może braknąć i nas. Musi być jednak jakiś plan. Choć szczęśliwe na ogół były dotychczasowe imprezy polskie dla Niemców, nie wmontowane w pewien ogólny plan tracą na sile oddziaływania. Zdobyły nam one już sporo publiczności. Kontynuacja jest konieczna. Muszą w pierwszym rzędzie ruszyć wydawnictwa książkowe. Niech katalog z wystawy lub program z koncertu z wytłoczonym na błyszczącym papierze orzełkiem polskim nie będą jedynymi pozycjami bibliograficznymi na tematy polskie w domu współczesnego Niemca.

INFORMACJE ZAP-u poznańskiego, ukazujące się w kilku językach, m. in. także w niemieckim, są, jak łatwo stwierdzić, przedrukowywane w wielu pismach niemieckich. Spełniają one dobrze swą rolę — informacyjną. Ale samą informacją nie powinniśmy się zadowolić. Jesteśmy sąsiadami Niemców. Oni muszą czuć niejako przez skórę bijące żywo serce polskiej kultury. W chaosie swego dnia muszą widzieć w niej nieraz drogowskaz i przykład. Niełatwo jest pisać o tych sprawach w felietonie, wiem, że wymagają one opracowania głębszego; programowi takiemu należy dać pewne podstawy praktyczne, oparte na znajomości braków i potrzeb niemieckiego życia kulturalnego. Tu sygnalizuje się jednak tylko to zagadnienie. Lektura „Sonntagu" przekonała nas, że Niemcy czekają na naszą ofensywę kulturalną. Na razie wyglądają jej z ciekawością. Każdy znający Niemcy zaś może powiedzieć śmiało, że się jej poddadzą. Niech mi nikt w tym momencie nie mówi, że nie mamy z czym do nich pójść. Sytuacja historyczna jeśli nie zrównała to przynajmniej bardzo zbliżyła poziomy dzisiejszego życia kulturalnego obu narodów. Różnica wykazuje jednak naszą wyraźną przewagę, przeważamy mianowicie ideologią naszych produktów kulturalnych. Humanizm naszych twórców nie jest humanizmem słabym i zwątpiałym jak u nich. Kształt artystyczny naszej literatury, choć bardzo odmłodzonej, jest doskonalszy, a tematyka jej coraz mniej ograniczona przez wąski patriotyczny horyzont. Naród muzyków umie także ocenić naszą muzykę.

WŁADZE okupacyjne na terenie Berlina niech będą pośrednikami wymiany, przekaźnikami naszej ofensywy. Nie stojąc własną nogą w Berlinie liczymy na wyrozumiałość tych, którzy nas cenią. Cytowany wyżej korespondent „Sonntagu" przyznaje, że wielkie jest w Niemczech zrozumienie i podziw dla awansu kulturalnego Zw. Radzieckiego, ale że podziw ten łatwo da się rozszczepić, jeśli tylko inne kultury słowiańskie, przede wszystkim zaś polska, zechcą się zadomowić w niemieckim życiu kulturalnym. Kto wie, czy nie odnieślibyśmy największego w historii zwycięstwa nad Niemcami, gdybyśmy, korzystając z chwili ich kulturalnej niemocy, runęli na nich z naszą propagandowo - kulturalną ofensywą. Pomyślmy o tym.

WISZ

WŁADYSŁAW JAN GRABSKI

Bitwa

W artykule „Historia w powieściach historycznych" (Nowiny Literackie nr 35 r. 1947) wyraziłem żal, że dotychczas nikt z poważnych historyków nie podjął się fachowej krytyki naszych powieści historycznych ostatniego Dwudziestolecia. Pragnąłem tym wywołać wilka z lasu, lecz niestety, wywołałem przeciwko sobie tylko — wilczka. Oto na łamach pewnego czasopisma, pewien recenzent, którego poniżej nazywam dyskretnie panem M. zaatakował, z iście młodocianym tupetem, podstawy historyczne Sagi o jarlu Broniszu. Na wszystkie jego zarzuty odpowiadam szczegółowo w następnym numerze czasopisma, które Pan M. uwiódł swą recenzją, wykazując jej błędy, niestosowność oraz brak kwalifikacji naukowych recenzenta. Wszakże dwa spośród tych zarzutów wkraczają na tak ciekawy i poważny teren badań historycznych, że postanowiłem poświęcić im więcej uwagi, nie dla powagi recenzenta, ale dla rzetelnego objaśnienia niektórych źródeł wspierających historyczną konstrukcję Sagi o jarlu Broniszu. Chodzi o bitwę Swoldeńską, o miejsce, gdzie się odbyła i o rolę jaką w niej mogli grać Słowianie-Polacy.

1 Pan M. ma pretensje do autora Sagi, że umieścił Bitwę Swoldeńską na wodach słowiańskich, a nie na krańcach zachodnich Bałtyku, pod Oersund, jak to podaje kronikarz bremeński Adam, jak ponoć wierzy najnowsza literatura skandynawska.

Na pozór zarzut to poważny, więc sprawdźmy go na podstawie źródeł obowiązujących powieściopisarza.

Bitwa Swoldeńska jest tak sławna, że ma nawet swój osobny artykuł w Encyklopedii Britannica, gdzie w tomie XXVI, na str. 269 (eleventh edit.) *David Hannay*, autor słynnej „History of the Royal Navy", opierając się na *Heims-Kringla* i innych, pisze m. in. co następuje:

„Swold, albo Swöld, najsłynniejsza z bitew morskich dawnych Normanów.

Odbyła się 9 września 1000 r. Miejsce jej nie może być dziś zidentyfikowane ponieważ brzegi Bałtyku w następnych wiekach znacznie się przekształcały. *Swold było wysepką blisko Rugii*".

Z polskich autorów przytaczamy, dla przykładu dwóch, a najważniejszych. Prof. *Stanisław Zakrzewski* w swym wspaniałym dziele „Bolesław Chrobry Wielki" wydanym w 1925 r. najsilniej podkreślił znaczenie stosunków polsko-skandynawskich dla Polski Pierwszych Piastów. Na stronie 162-3 pisze tam co następuje: „Dnia 9 września 1000 roku miała miejsce wielka bitwa morska, znana w podaniach jako „pugna Svoldrensis". Geneza tej słynnej bitwy, stoczonej *niedaleko Rugii*, nie jest jasna, w szczególności nie jest wyraźny cel wyprawy Olafa Tryggvasona.... (Po tej bitwie)... Bolesław Wielki długi szereg lat miał na Pomorzu ręce wolne od Duńczyków".

Jednak dla Pana M. największe znaczenie ma opinią w tej sprawie docenta *Leona Koczego*, którego dzieło „Polska i Skandynawia za Pierwszych Piastów" wydane w 1934 r. cytuje w swej recenzji, nazywa je „znakomitym" i — powtarza bezkrytycznie jego błędy.

Otóż Koczy na str. 86 wymienionego dzieła, w rozdziale zatytułowanym „Svolder" pisze tak:

„Mało jest wydarzeń w dziejach staro-nordyjskich, które by tak pociągały pisarzy jak bitwa pod Svolder"... „nie ma zdarzenia w dziejach Ultima Thule, które by tak było spowite przędziwem baśni jak ostatni bój Olafa Tryggvasona". Na str. 87 czytamy dalej: „historycy skandynawscy łączyli (bitwę pod Svolder) z dziejami Pomorza i przypisywali udział w niej księciu Bolesławowi Chrobremu". Najpełniejszy wyraz dał tym poglądom historyk norweski *Aleksander Bugge*". Tenże Koczy charakteryzuje przekaz *Adama Bremeńskiego*, któremu tak zawierzył krytyk Sagi, Pan M. następującymi słowami: „Ten *przekaz kroniki bremeńskiej nie budzi zaufania*, mimo, że stoi najbliżej zdarzeń tysiącznego roku" (str. 89). Chodzi o wyprawę Olafa". „W kronice mnicha *Teodoryka* (Norwegia) i w Sadze o Olafie *Odda Snorrasona* do spotkania między Olafem a jego wrogami doszło: *„juxta insulam que dicitur Svold et jacet prope Slaviam"* (Koczy op. cit. str. 92). A dalej (str. 95) „Głównym atoli świadectwem jest pieśń skjalda nadwornego Olafa, znanego nam już *Hallfreda Ottarssona*. Możemy przeto jego Orfi drapę uważać za źródło tej wagi, co świadectwo skjaldów, *uczestników wyprawy Tryggvasona ku ujściom Odry i bitwy pod Svolder*". Leon Koczy nigdzie nie nazywa inaczej bitwy tej jak bitwa pod Svolder, a na str. 105 cytowanego dzieła, na które powołuje się tak skwapliwie Pan M. pisze dosłownie i wyraźnie: „Tylko *L. Weibull* stoi na stanowisku, że bitwa odbyła się w Oersundzie. Wszyscy poza tym historycy idą za tradycją i uważają, *że wojna królów rozegrała się pod Svolder koło brzegów pomorskich.*

Za F. Jonssonem, który za tym ostatnim miejscem (Svolder) przeprowadził obszerny dowód rzeczowy (Hvor faldt Olav Tryggvason siste kamp. str. 89) idzie *J. Schreiner, Magnus Olsen* i inni".

Stwierdzamy, że najpoważniejsi historycy polscy, zgodnie z najpoważniejszymi uczonymi duńskimi, norweskimi, szwedzkimi i anglosaskimi, zgodnie ze świadectwem skaldów i najstarszą tradycją lokują bitwę Swoldeńską pod Svold u słowiańskiego brzegu, a nie pod Oersund, jakby chciał Pan M. dlatego tylko, że ktoś znów nowy, więc np. *Moberg*, już po skomponowaniu Sagi o jarlu Broniszu, opowiedział się za nieprzyjętą przez naukę wersją L. Weibulla.

Mimo wszystko, mam wrażenie, że Pan M. pierwszy wygwizdał by takiego powieściopisarza polskiego, który by bitwę Swoldeńską wyrugował ze słowiańskich wód gdzieś pod Skanję, po to chyba, by przypodobać się Niemcom, tak niechętnym wszystkiemu co słowiańskie i polskie w dziejach Europy.

2 Przechodzimy do drugiego zarzutu, punktu kulminacyjnego, sprawy dla polskiego pisarza i historyka prawdziwie ważnej, a mianowicie do roli Słowian w Bitwie Swoldeńskiej.

Pan M. pisze w swej recenzji: „ze źródeł skjaldów wynika całkiem bezspornie, że walczą oni (Słowianie) tam po stronie Olafa Tryggvasona, nie zaś jego przeciwników... Cała literacka koncepcja Grabskiego stoi w jaskrawej przeciwności ze źródłami... Podobnie wykluczony jest, jak mówi Leon Koczy w znakomitej pracy „Polska i Skandynawia za Pierwszych Piastów" udział Sigvaldiego w bitwie pod Svolder. Nie mógł on przewodzić Słowianom i Jomsborczykom, gdyż ci stali wszak u boku Olafa Tryggvasona".

Sprawdźmy źródła! Otóż stwierdzamy, że głównym źródłem Pana M. w tej sprawie jest *Leon Koczy*, na którego się powołuje. Dlatego musimy sprawdzić sumiennie Koczego, są to bowiem jego osobliwe, oryginalne poglądy, którymi usiłuje, jak mówi we wstępie do swego dzieła, „zetrzeć łeb hydrze" polskiego skandynawizmu, owej „megalomanii narodowej" która go drażni podobnie jak i Pana M., a wedle której Polacy odgrywali poważną rolę w świecie normańskim za Pierwszych Piastów. (Może i za Wazów nie odgrywali żadnej roli a i dzisiejsze zainteresowanie Szwecji Polską jest wymysłem polskiej demokracji?).

W gorliwości zacierania śladów Polski w dziejach normańskich jest Leon Koczy gorliwszy od Skandynawów, a nawet od wielu Niemców. Nie negując jego poważnej zasługi: przyswojenia polskiej literaturze wielu nieznanych „polonicków" skandynawskich, znaleźliśmy powody do tego, by całkowicie stracić zaufanie do rzetelności jego antypolskich w skandynawiźmie tendencji. Ale najprzód streśćmy, jego własnymi słowami, podstawowe dowody przeciwko udziałowi Słowian w bitwie Swoldeńskiej we wrogim Tryggvasonowi obozie. W wymienionej powyżej pracy Koczy pisze na str. 96, że najgłówniejszym świadectwem współczesnym do dziejów ostatniej bitwy Olafa Tryggvasona jest pieśń „skjalda" *Hallfreda Ottarsona*, zwana Olafs drapa, erfidrapa. Dalej dosłownie: „Dowiadujemy się z niej, że w pewnej chwili zaczynało być gorąco na statkach Winidów, czyli Słowian, którym z pomocą przybył sam Olaf Tryggvason. *Tej ostatniej rzeczy można się tylko domyśleć*" pisze Koczy. Zaznaczamy, że Olafs drapę zna Koczy i cytuje z wydania Finnur Jonssona. Z niego to cytuje na tejże stronie tekst norski, którego najważniejsze zdanie, jako kluczowe dla całej sprawy przytaczamy, jak je podaje Koczy: „Vard of Vinda myrdi vigskys" etc. co Koczy tłumaczy słowami: „Koło statków Windów powstał nagle wielki zgiełk". Zapamiętajmy to sobie.

Na str. 97 podaje Koczy, że jeszcze więcej niż Hallfredr wie u udziale Słowian w bitwie pod Svolder jej *naoczny świadek*, skjald Halldorr (Norweg, nadworny pieśniarz jarla Eryka Haakonsona). Ten dwukrotnie wymienia Winidów Słowian. Koczy konkluduje: „W bitwie brali udział Słowianie - Winidowie i walczyli przeciwko Erykowi jarlowi, a zatem po stronie Olafa Tryggvasona". Na str. 100 Koczy pisze: „Do zrozumienia udziału Słowian w bitwie pod Svolder konieczne jest wyznaczenie roli jarla Sigvaldiego, o którym się zwykle mówi, że w roku 1000 przewodził jomskiej siczy z ramienia Bolesława Chrobrego i że na jej czele zdradził Olafa w chwili krytycznej." „*Przypuszcza się powszechnie* — pisze Koczy — jakoby jarl (Sigvaldi) w przeddzień bitwy pod Svolder był naczelnikiem Jomsborga i razem z załogą tego grodu przeszedł na stronę wrogów Olafa Tryggvasona. Jest to wykluczone..." Sogvaldi stał więc w spotkaniu królów na Bałtyku we wrogim Tryggvasonowi obozie i nie prowadził do boju ani Jomswikingów, ani Słowian, gdyż ci ostatni walczyli przy boku Olafa."

Koczy dowodzi, że Sigvaldi nie był jarlem Jomsborga w 1000 roku z tego powodu, ponieważ skald Halldorr (jedyny) nazywa go jarlem Skanów, a nie jarlem Jomsborga. Dowód to niezmiernie naciągnięty, gdy zważymy, że ten tytuł „Skanów" tak samo może odnosić się do przeszłości Sigvaldiego jak i do jego późniejszej funkcji, z której znany był w Norwegii. Współcześni Halldorrowie skaldowie zgodnie nazywają Sigvaldiego właśnie jarlem Jomsborga.

Na str. 105 Koczy pisze: „O ile wspomaganie Olafa Tryggvasona

Kto jest literatem „ślónskim"

Z okazji niedawnej wizyty grupy literatów katowickich na Śląsku czeskim i Morawach, odezwali się pokrzywdzeni. Wizyta ta nie podobała się mianowicie wychodzącemu w Cieszynie Czeskim „Głosowi Ludu" a ściślej biorąc tym, co redagują tam dodatek „poświęcony kulturze i sztuce" pt. „Szyndzioły".

Oto autentyczne brzmienie owego niezadowolenia:

„W ostatnim czasie literaci katowiccy zaprosili do siebie regionalnych literatów z Opavy, Prościejova(?) i Mor. Ostravy, urządzając tam dla nich kilka publicznych występów. W zamian za to zaproszono kilku literatów katowickich na występ literacki w Opavie. Żaden z rzeczywistych pisarzy śląskich (polskich) nie brał udziału w tych imprezach z wyjątkiem redaktora pisma „Odra" W. Szewczyka. Imprezy te cechował charakter osobisto-adoracyjny, a nie zbliżeniowo-kulturalny(?). —juw—".

W dalszym ciągu następuje karykatura Gustawa Morcinka, zadumanego „nad wyjazdem Literatów Śląskich z odwiedzinami do Śląskich Literatów Czeskich" z takim zdradzającym genialnego autora dwuwierszem:

„Widzą, że Śląsk to Berno, Kraków
i... kpiny,
lecz nie chcą widzieć na Śląsku
Karwinę."

Dla ścisłości zaznaczam, że rozstrzelenia druku pochodzą ode mnie.

Okazuje się więc, że mamy literatów „śląskich" rzeczywistych i nierzeczywistych, że jedynym literatem *polskim* ze Śląska jest W. Szewczyk, że wobec tego Żukrowski, Brzoza, Baumgardten i niżej podpisany to literaci śląscy, ale *nie polscy*, więc chyba chińscy (nie chcę dopuścić myśli, że może niemieccy!).

„Szyndziołom" należało by poradzić, żeby nauczyły się wreszcie, że każdy literat w Polsce jest literatem polskim, że nie będzie się już stosować określenia „literat śląski" dla dogodzenia ambicji partykularnych grafomanów, którzy tym tytułem chcieliby pokryć niemożność wyjścia ze swą twórczością poza regionik.

Następnie wyjaśniam, że Gustaw Morcinek, nazywany przed wojną przez niektórych współpracowników „Szyndziołów" pogardliwie Guciem Porcinkiem a obecnie bardzo przez nich czczony dla siania zamieszania, zdecydowanie odmówił wspólnego wyjazdu z kolegami z Katowic na zaproszenie kolegów czeskich.

Dalej zauważam, że literaci polscy bawiący na Śląsku czeskim nie odwiedzili wprawdzie Karwiny, ale odwiedzili Orłową i byli razem z kolegami czeskimi na wykonanym przez polską młodzież gimnazjalną przedstawieniu „Pana Jowialskiego", co uszło uwagi recenzenta „Głosu Ludu".

Dalej radziłbym „literatom ślónskim" nauczyć się pisać poprawną polszczyzną.

I na koniec uważam za konieczne lepsze informowanie czytelników o sprawach kulturalnych polsko-czeskich: „Ład serca" Andrzejewskiego już dawno wyszedł po czesku, więc nie pora zapowiadać dopiero jego wydanie. „Ożywcze krynice" Wiktora to publicystyczna broszura, która nie ma nic wspólnego z „Orką na ugorze" zapowiedzianą jako „Uhorz" w czeskim tłumaczeniu. Jakoś my w Katowicach to lepiej wiemy. *(zh)*

Siedem opowiadań

Siedem opowiadań.*) Zreferujemy pokrótce to, którego tytuł stał się tytułem książki. — Profesorowa Broniszewska przyjmuje nową służącą, Katarzynę. Dobrze trafia bo Katarzyna, kobieta koło pięćdziesiątki, ma wybitną skłonność do poświęcania się dla każdorazowych chlebodawców, a starzy już Broniszewscy marzą właśnie o istocie, „która żyłaby całkowicie ich życiem" (113). Katarzyna wrasta w dom, staje się niezastąpiona. Z entuzjazmem pielęgnuje państwa w chorobie, z lubością wysłuchuje utyskiwań profesorowej na niewdzięczność samodzielnych oddawna dzieci. Utyskiwania te podnieca i rozdmuchuje. Wzbudza w Broniszewskich nieufność do znajomych. Śmiano się z niechęci z jaką „przyjmowała każdego gościa, z zazdrosnej jej miłości do „państwa", z jej dążenia do wyłączności" (115—6). Po śmierci Broniszewskiej szczególna miłość służącej rozrasta się i koncentruje na profesorze. Miłość to zresztą tyle szczególna, co chorobliwa. Katarzynę opanowuje, w stopniu coraz silniejszym maniakalne pragnienie dyrygowania życiem swego chlebodawcy. W jakiej mierze udało się jej to pragnienie urzeczywistnić, wyjaśnia zakończenie opowiadania: Pewnego dnia do drzwi profesora dzwoni jego córka. Profesor nie otwiera, bo jest zamknięty przez Katarzynę, która poszła do miasta. „Katarzyna mówi, że mogliby się zakraść złodzieje, a jabym nie słyszał" (130). Córka, wściekła postanawia się ze służącą rozprawić, ale zza drzwi rozlega się głos: „Nie wtrącaj się między mnie i Katarzynę. (...) Nawymyślasz jej, wyrzucisz, tak? A co mi lepszego na to miejsce zaproponujesz? Nową służącą, złodziejkę, ladacznicę? Taką, która mnie okradnie i sprowadzi gacha, aby mnie zarżnął w nocy? Tego chcesz? Nie uszczęśliwiaj mnie. Jest mi dobrze tak, jak jest" (131). Krzywicka zamyka opowiadanie dość charakterystycznie: „Jakim argumentem zniszczyć władzę tej prostaczki nad człowiekiem, umiejącym myśleć a ogłupiałym przez nią? **Nie ma sposobu by przekonać człowieka, który popadł we władzę jednej uporczywej myśli"** (podkreślenie moje).

Nie ma potrzeby streszczać pozostałych opowiadań. Ograniczymy się do zaznaczenia, że w czterech spośród nich bohaterami są również ludzie pozostający we władzy „jednej uporczywej myśli". Paranoicy, jak to autorka w pewnym (72) miejscu zaznacza, (paranoik — człowiek o zdrowych zmysłach cierpiący na jakąś manię prześladowczą). Profesor powiedział: „Jest mi dobrze tak, jak jest". Paranoicy opowiadań pozostałych stawali się przyczyną tragedii własnych lub cudzych albo własnych i cudzych równocześnie. Każda z tragedii opatruje Krzywiska inną wersją tego samego ponurego zdania — „Nie ma sposobu..." Sporadycznie, być może. Jeżeli jednak na podstawie pięciu opowiadań chce nam autorka zasugerować, iż zawsze „nie ma sposobu", musimy protestować. Tym silniej, że owa diagnoza nie jest w utworze umotywowana. Krzywicka daje jakieś odautorskie szkice psychologiczne, posiekane z rzadka dialogami. Są to szkice ludzkich marionetek, które izolowano sztucznie od rzeczywistości, żeby je łatwiej na swoją modłę spreparować. Czym bowiem, jeżeli nie laboratoryjnym potraktowaniem postaci, wytłumaczyć owo fatalistyczne poddawanie się bohaterów wyznaczonemu im przez imaginację autorki losowi? Czy profesor uniwersytetu nie stykał się przez dziesięć lat z ludźmi, których towarzystwo zneutralizowałoby wpływ (pozbawiony w dodatku pierwiastków fizjologicznych) jednej prostej baby? Czy laluś, kobieciarz i karierowicz (w opowiadaniu „Bezbronna ofiara") major Rodzinowski nie był przypadkiem poganiany przez Krzywicką do spełniania roli samarytanki w stosunku do dziewczyny ubogiej, brzydkiej i nudnej? Czy z kolei dziewczyna piękna i żywa („Starzec i dziewczyna"), której matka poluje na gachów, w istocie tak była cnotliwa i bojaźliwa, że w okresach nudy nie znajdowała sobie „rozrywki" poza plecami schorowanego, starego męża? (Nie mamy nic przeciw cnotliwości postaci Krzywickiej są jednak prawie z reguły „bez przesądów" — str. 23, skądże więc tyle wytrwałości w istocie, która często „dygotała z miłości i pożądania" — str. 71). Nie potrafimy w to wszystko uwierzyć tylko na słowo.

Utwór literacki jest fikcją, ale ta fikcja musi być wewnętrznie umotywowana — to banał dość stary. Gdy brak dobrej motywacji zaczyna się naciąganie, a przy naciąganiu nie trudno o pęknięcia. Przez pęknięcia w opowiadaniach Krzywickiej sączy się nieuzasadniony pesymizm. Cierpienia każdego prawie bohatera wydają się czytelnikowi bez sensu. „Wyczarowano" je na własne zamówienie piszącej. Książka swym fatalizmem odpycha. Nie ratuje sytuacji płynna łatwa proza, ani dwa ostatnie opowiadania, których ton nie odbiega zresztą zbytnio od całości.

Jan Gawałkiewicz.

*) Irena Krzywicka, Tajemna przemoc. Wydawnictwo AWIR. Katowice 1947. Str. 175.

DAPHNE DU MAURIER

Generał Jego

IX)

Chard, Crediton, Lyme, a wreszcie i Tiverton dostały się w ręce Fairfax'a w ciągu października, Goring zaś nie robił zupełnie nic, by go powstrzymać. Wielu żołnierzy dezerterowało z jego armii, by się zaciągnąć w szeregi Ryszarda, gdyż większe zaufanie mieli do jego talentu wojskowego. Podżegało to tylko zazdrość i doprowadzało do wzajemnych oskarżeń.

Aż kiedyś niespodzianie, bez żadnego uprzedzenia lord Goring rzucił dowództwo i wyjechał do Francji, tłumacząc to złym stanem zdrowia.

— Szczury zaczynają po kolei opuszczać tonący okręt — rzekł Ryszard w zamyśleniu.

Mam wrażenie, że dopiero wtedy Rada Książęca po raz pierwszy upadła na duchu i pojęła cały ogrom zagrażającego niebezpieczeństwa. Walczyli za sprawę stracaną...

Poczyniono przygotowania do wyjazdu z Launceston i przeniesienia się dalej na zachód, do Truro. Rozmawiając ze mną na ten temat Ryszard powiedział mi, że jest to już całkiem jednoznaczne. Po prostu chcieli być bliżej Falmouth, tak, żeby w razie jakiegoś kryzysu książę Walii i panowie Rada mogli natychmiast odpłynąć do Francji. Zapytałam go wtedy bez ogródek, co on sam zamierza robić.

Zaśmiał się krótko i rzucił mi na podołek kartkę zapisanego papieru.

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — powiedział. — W każdym razie dla nas obojga. Możemy razem wyjechać na zachód.

— Jakże to?

— Możesz przeczytać ten list. Jest to kopia listu, który właśnie posłałem Radzie Książęcej i w którym ich zawiadamiam o rezygnecji z zajmowanego dotychczas stanowiska.

Przez chwilę nic się nie odzywałam. Siedziałam nieruchomo, jak zmartwiała.

— Co to ma znaczyć? — spytałam nareszcie. — Co się stało?

Zbliżył się do kominka z rękami założonymi do tyłu.

— Poszedłem do nich — odrzekł — i powiedziałem im, że jeśli im zależy na ocaleniu Kornwalii i księcia, muszą zamianować kogoś naczelnym dowódcą. Żołnierze dezerterują całymi setkami, nie ma mowy o żadnej dyscyplinie. Podziękowali mi. Powiedzieli, że rozpatrzą tę kwestię. Odszedłem. Następnego dnia rano pojechałem do Gunnislake i Callington, by obejrzeć roboty ziemne. Wydałem tam rozkaz pewnemu pułkownikowi piechoty, by w razie potrzeby wysadził jeden z mostów. Zaczął się ze mną sprzeczać, kwestionując mą władzę i mówiąc, że otrzymał już rozkazy wręcz przeciwne. Chcesz może wiedzieć, kto to był?

Nie odezwałam się ni słowem. Intuicyjnie zgadłam od razu.

— To był twój brat, Robin Harris! — zawołał Ryszard. Ośmielił się nawet twoje imię wmieszać do spraw czysto wojskowych. „Nie mogę wypełniać rozkazów kogoś, kto zniszczył życie i reputację mojej siostry! Sir John Digby jest moim dowódcą, a sir John wydał rozkaz zostawienia mostu w całości." Tak mi powiedział.

— A co potem? — spytałam. — Widziałeś się z Digby'm?

— Nie — odparł. — Na cóżby się to przydało, skoro i tak postawiłby się okoniem, tak, jak i twój brat. Wróciłem tutaj, do Launceston, by odebrać od Rady Książęcej nominację na głównodowodzącego armii królewskiej. Nominacja ta dałaby mi możność okazania mej władzy tym wszystkim jegomościom.

— I dostałeś ją?

Pochylił się nad stołem i znalazłszy niewielką kartkę pergaminu, podsunął mi ją przed oczy.

— Rada Książęca mianuje lorda Hopton naczelnym dowódcą armii Jego Królewskiej Mości na zachodzie, pragnąc równocześnie, by Sir Ryszard Grenvile służył pod jego rozkazami, jako generał porucznik piechoty.

Ryszard odczytał te słowa powoli, ze śmiertelnym namaszczeniem i pogardą, a potem podarł kartkę na drobne kawałeczki i wrzucił je w ogień.

— Oto moja odpowiedź — rzekł.

Była już blisko północ, gdy adiutant Ryszarda zapukał do drzwi i wszedł, niosąc jakiś list. Ryszard odebrał list i przeczytał.

— Rada Książęca wzywa mnie, bym się stawił jutro w Castle Court, w Launceston.

Było już chyba koło trzeciej godziny następnego dnia, gdy usłyszałam, że warta przy bramie staje na baczność. Północnym wjazdem jakieś konie weszły na dziedziniec, ale ponieważ okna mojego pokoju wychodziły na przeciwną stronę, nie mogłam zobaczyć, kto to przyjechał. Potem zapukano do mych drzwi i jeden ze służących zapytał, czy adiutant Ryszarda mógłby się ze mną zobaczyć. Odpowiedziałam twierdząco, po czym opuściłam bezwolnie ręce na kolana i siedziałam, pełna zbyt dobrze mi znanej trwogi. Adiutant wszedł i zatrzymał się przy drzwiach. Na jego twarzy wyraźnie malowała się rozpacz.

— Proszę mówić — powiedziałam. — Jestem przygotowana na najgorsze.

— Został aresztowany — wyrzekł z trudem. — Pod zarzutem nielojalności wobec księcia Walii i Jego Królewskiej Mości. Pojmali go tam wobec nas wszystkich, wobec jego sztabu i wszystkich oficerów.

— Nic więcej nie masz mi waćpan do powiedzenia? — spytałam. — Ani jednego słowa? Nie kazał mi nic rzec na pożegnanie?

— Nie — odparł. — Kazał mi się tylko dobrze opiekować Waszą Miłością i odwieźć ją bezpiecznie do siostry.

Siedziałam bez ruchu, z odrętwiałym sercem, niezdolna do odczucia jakiegokolwiek wzruszenia, czy namiętności.

— To koniec! — powiedział pułkownik Roscarrick. — Tylko Sir Ryszard Grenvile mógł nami dowodzić. Nikt inny. Kiedy Fairfax uderzy, nie spotka żadnego oporu. To już jest koniec.

* * *

Zbliżyłam się do Jack'a Grenvile, który teraz należał do sztabu księcia.

— Jack! — powiedziałam. — Gdybym cię o to poprosiła, czy zrobiłbyś coś dla swego stryja?

— W ogień bym poszedł za was oboje!

„Niech cię Bóg błogosławi, nieodrodny synu Bevil'a", pomyślałam. A potem rzekłam:

— Wyjednaj mi audiencję u księcia Walii...

— Zrobię co tylko będzie w mojej mocy — odparł Jack. — Ale uprzedzam Waszą Miłość, że być może trzeba się będzie uzbroić w cierpliwość; nie mogę też ręczyć za skutek moich usiłowań.

Ale 14 lutego, w dzień św. Walentego, patrona zakochanych, dostałam list od Jack'a Grenvile. Wiadomość podana była w sposób mglisty, bez podawania czyichkolwiek nazwisk.

Udałam się w drogę sama, bez Matty, mniemając, że w sprawach tak dyskretnych lepiej jest występować bez powiernicy. Jack czekał na mnie przy wejściu do zamku.

Dwóch służących w liberii książęcej podeszło, by mnie wynieść po schodach. Zanieśli mnie do małej salki i ułożyli na sofie.

Dano mi możność odsapnięcia nieco w samotności, a po jakimś czasie drzwi otwarły się ponownie i ukazał się Jack, wpuszczając przed sobą młodzieńca mniej więcej w jego wieku. Daleko mu było do urody, smoliste loki i śniada cera czyniły go podobnym raczej do Cygana, niż do księcia, ale gdy się tylko uśmiechnął, spodobał mi się bardziej, niż wszystkie portrety jego ojca, do których ludzie mego pokolenia przyzwyczaili się od trzydziestu lat.

— Chodźno tu, Jack! — rzekł książę. — Przedstaw mnie swojej krewnej.

— Nie chciałabym, broń Boże, zabierać czasu Waszej Książęcej Mości — powiedziałam. — Ale Sir Ryszard Grenvile, stryj Jack'a, jest od wielu lat jednym z mych najlepszych przyjaciół. Ma z pewnością wiele wad. Nie przyszłam tu po to, by je rozpatrywać. Ale wierzę, że jego lojalność względem Waszej Książęcej Mości żadną miarą nie może być podana w wątpliwość.

— W to nie wątpię — odrzekł książę

Swoldeńska

przez Słowian w bitwie pod Svolder uważać można za fakt najlepszymi źródłami stwierdzony, o tyle wszystkie inne wiadomości, o rzekomym sojuszu Norwegii z Polską odrzucić musimy z całą stanowczością jako nieprawdziwe. O Bolesławie Chrobrym, rzekomo posiłkującym Tryggvasona w wojnie królów na Bałtyku, nie ma w ogóle co mówić. Przecież w 1000 roku książę polski był spokrewniony z obu królami walczącymi przeciw Olafowi, Olaf Skottkonung był jego siostrzeńcem, Swend Widłobrody jego szwagrem. Czyż jest do pomyślenia, aby Bolesław łączył się z Tryggvasonem, który był mu zupełnie obcy, przeciw swym krewniakom, których potrzebować mógł w przyszłej wojnie z Niemcami i Połabianami? *Jeżeli* Bolesław Chrobry *miał się wiązać* z którymkolwiek z królów nordyjskich, to w pierwszym rzędzie ze *Swendem i Olafem* Skottkonungiem, a nie z Tryggvasonem."

Taki oto materiał historyczny, takie hipotezy i możliwości znalazł w dziele Koczego polski pisarz przystępujący do konstruowania pierwszej w literaturze słowiańskiej wersji Bitwy Swoldeńskiej. Uporządkujmy ten materiał w sposób przejrzysty.

Cały dowód Koczego, przesądzający charakter udziału Słowian w bitwie królów, to ów tekst norski, zacytowany przez nas powyżej. To punkt kluczowy. Na nim tylko opiera się pewność Koczego, iż wobec tego że Tryggvason, „jak się tego można domyśleć" przyszedł na pomoc Słowianom-Wendom, więc Słowianie walczyli po jego stronie, bo inaczej nie szedł by im na pomoc, ale wobec tego Sigvaldi nie mógł na czele tych Słowian walczyć przeciw niemu, że jednak walczył, więc nie na czele Słowian, nie na czele Jomsborczyków. Ale jednocześnie Polacy nie mogli wspomagać Tryggvasona, gdyż Bolesław Chrobry raczej mógł wspomagać Duńczyków i Szwedów, swych krewnych, przeciw Tryggvasonowi. Jednak Bolesław nie walczył i przeciw Tryggvasonowi, bo był księciem Słowian, a Słowianie byli przecież sojusznikami Tryggvasona. Wobec tego Polaków nie było wcale pod Svolder i mrzonką jest jakiś ich udział w tej rozprawie.

Mętny to wywód, lecz nie z naszej winy, jeno że Koczy wywiódł go z bardzo mętnego źródła, w gruncie rzeczy wyłącznie „lingwistycznego", więc z własnego tłumaczenia na polski pewnego wersetu norskiej pieśni i swoistej interpretacji tego tłumaczenia, które zacytowaliśmy dokładnie powyżej.

Słuszną przeto jest rzeczą, że dowodem Koczego zajęła się lingwistyka. Bodaj że najwybitniejszy nasz skandynawista-germanista, nie odżałowanej pamięci docent dr *Stanisław Sawicki* poświęcił dziełu Koczego pilną uwagę i opublikował o nim przed wojną w kwartalniku historycznym referat pod tytułem *„O źródłach staronordyjskich"*. Sawicki kontroluje sumiennie źródła staronordyjskie i literaturę naukową, na którą powołuje się Koczy i udowadnia mu fachowo mnóstwo błędów, nieścisłości, pochopności przy wyciąganiu wniosków, jednostronność w ocenie źródeł, a nawet wyraźne fałsze przy cytowaniu obcych autorów!

Pomijając prawdziwie sensacyjne, choć niemniej ważne ciekawostki, skupmy uwagę na zagadnieniu nas dotyczącym, więc na źródłach o bitwie Swoldeńskiej. Na wstępie mała dygresja. Należy po polsku pisać „skald", a nie „skjald", jak to, jak za panią matką pacierz, powtarza za Koczym M., niepotrzebnie siląc się na innowację. A dlaczego, niech wyjaśni: *Falk-Torp:* Norwegisch-Dänisches ethymologisches Wörterbuch. T. II. Heidelberg. 1911, str. 980. Jest tam pochwała właśnie poprawnego brzmienia słowa „skald" i przeciwstawienie mu zniekształconej formy „skjald".

Na stronnicy 221/7 *Sawicki,* po omówieniu licznych błędów Koczego popełnionych przy cytowaniu Olafs drapy, pisze dosłownie: „Następny rozdział omawia bitwę królów pod Svöldh. Także i tu wiersz skaldów odgrywa ważną rolę. Szósta zwrotka Hallfredha Ottmarsona,, na którą autor (Koczy) kieruje naszą uwagę, jako na „najważniejszą", nie mówi nic ciekawego. Autor (Koczy) ma bez wątpienia na myśli zwrotkę 7 którą jednak *tłumaczy fałszywie,* fałszywe wskutek tego czerpiąc z niej wnioski: nie ma w niej mowy: „koło statków Windów powstał nagle wielki zgiełk", jest natomiast: *„Powstał mocny zgiełk pod tarczą zabijacza Wendów"* (Vindha myrdhir). Także u skalda Haldóra Okristni łączy autor (skald) ten sam epitet z obecnością okrętów wendyjskich". Dalej pisze Sawicki: „Tekst brzmi: „Powstała walka koło *zabijacza Wendów*", tj. Olafa Tryggvasona"..." Snorri Sturluson (cytujemy Sawickiego) w opisie bitwy pod Svöldh, w swojej Olaf Tryggvasonarsaga cap. 112, mówi o zdrajcy Sigvaldim z *Jomsborga,* że przybył z 10 statkami i o XI statku Astrydy, córki *Burislafa:* „I na ten statek umykający z powrotem ku brzegom Vindlandu, wedle plotek miał schronić się Olaf, wskoczywszy do morza, widząc swoją przegraną". „Także i w oczach Snorriego, ciągnie Sawicki, widać jomskie okręty były statkami „Wendów", podobnie jak i źródła współczesne uważają Jomsborg za miasto słowiańskie, wendyjskie. Skald Haldor, zamykając 6 strofę epitetem „zabijacza Wendów" odniesionym do Olafa, zaczyna strofę 7 od opisu zbliżających się do bitwy statków Wendów. Przy tym w całym wierszu mowa jest o wrogach Olafa w bitwie, należało by więc przypuszczać, że gdyby Wendowie byli walczyli po stronie Olafa, jako jedyni sprzymierzeńcy, skald nie byłby tego faktu przemilczał".

Przypominamy, że ten Haldor, o którym Koczy wspomina, iż był naocznym świadkiem Bitwy Swoldeńskiej, brał udział w bitwie na statku jarla Eryka, który, jako Norweg w służbie Danii, walcząc przeciwko Norwegowi Tryggvasonowi, z przegranej Tryggvasona nie osiągnął zamierzonych czy wymarzonych celów, gdyż nie został królem Norwegii, lecz jedynie zarządcą jej części z ramienia Swenda Duńskiego, męża Sigrydy-Piastówny.

Zacytowane przez nas teksty Sawickiego aż nadto wystarczają, by zburzyć fundament tezy Koczego o rzekomym sojuszu Wendów-Słowian z Olafem Tryggvasonem w Bitwie Swoldeńskiej. Trudno o bardziej sugestywny dowód na to, że Słowianie walczyli przeciwko Tryggvasonowi, że byli jego głównymi wrogami, sprawcami jego klęski i poważnymi aktorami Bitwy Swoldeńskiej, jak właśnie epitet „zabijacza Słowian", jakim nieszczęsnego Olafa, wodza Norwegii pod Svöldh, obdarzyli opłakujący go skaldowie norwescy... W związku z obaleniem tezy Koczego utrwala się moc praw dopodobieństwa powszechnej opinii współczesnych „zgodnej z tradycją, tekstami legend i sag, w myśl opinii badaczy skandynawskich i polskich, że Sigavldi — zdrajca wiódł polski Jomsborg przeciwko Tryggvasonowi, że klęska Olafa była tryumfem Sigrydy-Storrady, że Bolesław-Burislav, zgodnie z sugestią prof. Zakrzewskiego i z przeciwstawnymi suppozycjami Koczego, wspomagał w tej bitwie swego szwagra Swenda Duńskiego i swego siostrzeńca Olafa Szwedzkiego.

W Sadze o jarlu Broniszu wszystkie te dane, źródła i hipotezy, włącznie z Koczym i Sawickim, jako najnowocześniejszym w tej dziedzinie dorobkiem nauki polskiej, znalazły swe odzwierciedlenie.

A jak przezornie była moja Saga konstruowana i synchronizowana z drobnymi nawet źródełkami, niech służy przykład, że dla plastyki jednej tylko sceny z Bitwy Swoldeńskiej, dla wprowadzenia owego statku królowej, na który miał schronić się pokonany Tryggvason, statek ten, Storrada, został już w pierwszym tomie trylogii zamówiony przez Sigrydę, w drugim tomie był budowany w Jasmundzie na Rugii, po to, by wystąpić na scenie w czasie bitwy, w roli jaką dlań przewidziałem o tysiąc stronnic dalej.

Chociaż moją trylogię nazwałem *Sagą,* a więc sklasyfikowałem ją celowo jako opowieść-baśń o bohaterach, przecież w tekście sagi o Bitwie Swoldeńskiej, której opis zajmuje ca. 60 stronnic (a nie w komentarzu, który jest przejściowym dodatkiem), włożyłem w usta Olafa norskie brzmienie epitetu Zabijacza Wendów, „Vindha myrdhir". Uczyniłem to nie bez powodu i poważny recenzent zwróciłby na to uwagę. A niepoważny schwycił się na wędkę, jaką powieściopisarz nastawił na niepowołanych krytyków...

Władysław Jan Grabski

Apel pisarzy polskich

Wypełniając uchwałę Walnego Zjazdu Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich, Zarząd Główny Z. Z. L. P. zwraca się do wszystkich, dla których najcenniejszym dobrem jest kultura i cywilizacja europejska, z następującym apelem:

Faszyzm, występujący w zamaskowanej postaci, na nowo zagraża światu, a Niemcy znalazły obrońców, którzy podsycają w nich żądzę odwetu i zemsty.

Znów po pięciu latach zwycięskiej, okupionej potwornymi ofiarami walce z hitleryzmem, giną ludzie broniący praw człowieka, sprawiedliwości społecznej, demokracji, przeciwnicy ideowi faszyzmu. Frankistowski rząd Hiszpanii w grudniu 1947 r. kazał wykonać wyrok śmierci na Augustynie Zorea Sanchez i czterech innych bohaterach walki wyzwoleńczej ludu hiszpańskiego. W proteście przeciw temu barbarzyństwu łączymy się z głosami tak robotników jak i intelektualistów wielu krajów, którzy dali w piśmie wyraz swemu oburzeniu.

Coraz to w innym miejscu świata wybucha nowe ognisko walki orężnej, inspirowanej i kierowanej przez siły wrogie pokojowi. Bez przerwy leje się krew i bez przerwy powstają nowe, nieznane, straszliwe rodzaje broni, których przeznaczeniem jest zniszczyć dzieło cywilizacji i tak spustoszone przez działania minionej agresji.

Nie trudno dostrzec, że ten układ wydarzeń politycznych może sprowadzić na ludzkość nową wojnę, której skutków nie podobna przewidzieć.

Społeczeństwo polskie winno sobie uprzytomnić, że wojna ta nie oszczędziłaby naszego kraju. Pisarze polscy w poczuciu swego społecznego obowiązku apelują do wszystkich ludzi dobrej woli, apelują do ich rozumu i patriotyzmu, by zjednoczyli swe siły przeciw działaniom podżegaczy wojennych.

Polska, która od blisko dwóch wieków walczyła o wolność i braterstwo ludów, kraj najbardziej doświadczony przez wojny i zabory, ma prawo zabrać dzisiaj głos w sprawie, która jest sprawą wszystkich ludów świata. Pracownicy literatury polskiej wzywają pisarzy innych narodów do współdziałania w obronie zagrożonego pokoju świata oraz do wzmożonej walki z reakcją społeczną i zmową międzynarodowego kapitalizmu.

Pisarze polscy wiedzą, że pokój może być uratowany i utrwalony tylko przez ludy, które wojny nie chcą, przez ludy, które potrafią oprzeć się zbrodniczym planom imperialistów.

Słowo pisarza nie jest bronią, która zabija, ale jest bronią zdolną podnieść masy ludzkie do oporu przed szaleństwem ludzi chcących wojny i zniszczenia.

Pragniemy, aby ten protest przeciw wszystkim, którzy roją o podbojach i zyskach kosztem krwi milionów był usłyszany.

ALEKSANDER WIDERA

W Nieborowie

Tygodniowe studium literackie dla młodych pisarzy, jakie niedawno odbyło się w Nieborowie, realizację swą zawdzięcza nie tylko inicjatywie departamentu Ministerstwa Kultury i Sztuki. Studium to było wynikiem potrzeby szerszej, geneza jego leży w tendencji bardziej ogólnej, a taką niewątpliwie jest dążność do powiązania literatury z nową rzeczywistością polską. Zważywszy, że w sprawie uspołecznienia literatury podejmowano już liczne dyskusje, przede wszystkim na łamach prasy, że powstały instytucje i organizacje, specjalnie na ten zakres działania nastawione, wypada stwierdzić, że z dążności tej narodziła się akcja. W ramy tej akcji trzeba włączyć i studium nieborowskie.

Zauważył słusznie w jednym ze swych referatów na studium Jan Kott, że efektywność literatury, jej wpływ na rzeczywistość jest mniejszy i nie tak bezpośredni jak oddziaływanie urządzeń socjalnych, organizacji bezpieczeństwa itp. Jeżeli chodzi o stosunek do rzeczywistości, literatura ma raczej charakter mapy. Mapa zaś w przeciwieństwie do obrazu odbitego w zwierciadle nie jest podobna do rzeczywistości, jest z nią jednak w sposób oczywisty związana. Na mapie literatury współczesnej nie zaznaczyły się jeszcze w sposób dostatecznie wyraźny nowe kształty przemian. Czynniki pozaliterackie posuwają się bodaj aż do oskarżeń.

Z tego punktu widzenia rozpatrując sprawę studium nieborowskiego, wypada zauważyć, że było ono nie tylko szkołą dla młodych, ale i dla starszych pisarzy. Dowodem tego choćby ożywione dyskusje i polemiki, z których wykładający na studium pisarze starsi z trudem niekiedy wychodzili albo i nie wychodzili obronną ręką.

Zarówno wykłady jak i dyskusje sprowadzały się mutatis mutandis właściwie do dwóch zagadnień: formy i treści. — Mówi się często o rewolucji w poezji i ma się przy tym na myśli sprawy formalne — skonstatował w prelekcji swej na temat postulatów nowej poezji Jastrun. Tymczasem po r. 1939, z którym jakaś karta poezji została zamknięta na zawsze, zagadnienie formy zeszło raczej na plan drugi, a na czoło wysunęło się zagadnienie nowej treści i szerokiego pojmowania zadań poezji. Oryginalności formy Jastrun nie neguje, owszem pochwala ją, przekreśla jednak oryginalność pustki. Razi go także tania agitacja. Jako jej przykład podaje zamieszczony we „Wsi" krótki wiersz młodego poety, w którym zmieściła się i fabryka i miłość do dziewczyny i Pstrowski i morał i jeszcze jakieś sprawy. Forma nie może być tandetna. To prawda. Formalizm jednak jest anachronizmem. To lata przedwojenne cechował przerost rzemiosła poetyckiego nad tym, czemu poezja w istocie powinna służyć.

Rozważania na temat funkcji socjalnej literatury dotyczyły zarówno bogatego wachlarza gatunków literackich, zajmując się nimi już to zespołowo już to wyodrębniając z zespołu dany gatunek i stosując doń miary socjologiczne, jak też odnosiły się indywidualnie do przypadkowego albo jedynie jako przykład służącego utworu bez względu na jego przynależność gatunkową.

Jan Kott przeprowadzając rozbiór socjologiczny dzieła literackiego posłużył się teorią Tymianowa, nie we wszystkim się jednak z nią zgadzając. Seweryn Pollak zastanawiając się nad funkcją socjalną przekładu przytoczył przykłady fałszerstw ideologicznych u tłumaczy reprezentujących inny światopogląd niż dany twórca oryginalny. W reżimie sanacyjnym świadomie wypaczano tendencję utworów tłumaczonych, stojących na gruncie innej ideologii. Czynnik społeczny wystąpił tu szczególnie wyraziście, choć prelekcja zajęła się tak dalece techniczną — zdawałoby się — czynnością literacką jak tłumaczenie z obcego języka. Wacław Kubacki omawiając zagadnienie wzoru literackiego posłużył się metodą seminaryjną, przy czym jako przedmiot analizy dlatego m. in. wybrał „Zimę miejską" Mickiewicza, że utwór ten ma charakter na wskroś społeczny, jest mianowicie satyrą na ziemiaństwo.

Socjologiczny punkt widzenia był decydujący i przeważał we wszystkich rozważaniach. Nic dziwnego, chodziło przecież głównie o problematykę Polski współczesnej w twórczości literackiej, o problematykę społeczną. Znaczenie tej problematyki jest na tyle doniosłe, że mogła ona przytłoczyć inne zagadnienia.

*

Zjazd młodych pisarzy z całej Polski miał niewątpliwie swój aspekt wychowawczy. Możliwość obcowania ze sobą nie tylko w granicach jednej czy dwu godzin, a całego tygodnia oznaczała dla każdego możliwość dokształcenia się, które najskuteczniej dokonuje się w zapale rozmów i dyskusji. Niejednokrotnie młody pisarz znał tylko regionalne podwórko. Tutaj spotkanie nastąpiło na płaszczyźnie ogólnopolskiej. Na szpaltach pism literackich spotykały się na tej płaszczyźnie jedynie nazwiska. Tu spotkali się ludzie. Zetknęli się bezpośrednio i to w grupie bądź co bądź pokaźnej. W studium wzięło udział blisko 50 słuchaczy. Jeśli do tej liczby dołączymy i wykładowców, uzyskamy pełną sześćdziesiątkę. To włączenie zaś oznacza spotkanie drugie, spotkanie młodego i starszego pokolenia pisarzy.

W gromadnym spotkaniu ludzi pióra z całej Polski musiały zaistnieć pewne zasadnicze tendencje. Młody pisarz znalazłszy się w gronie kolegów po fachu zyskiwał do pewnego stopnia skalę porównawczą dla własnych sił i możliwości. Nie jeden czując się jako tako pewnie w skali regionu, tracił tę pewność w skali ogólnopolskiej. Co dzieje się w podobnych wypadkach? Rodzi się postanowienie wyjścia poza granice regionu, powstaje chęć dorównania drugim, którzy okazali się lepsi. Moment psychologiczny jest tu równocześnie momentem wychowawczym.

*

Mówiąc o studium literackim w Nieborowie, nie sposób nie wspomnieć o filmach.

W ramach studium wygłoszono dwa referaty o kinematografii i wyświetlono cały szereg filmów krajowych i zagranicznych. Impreza ta miała na celu bliższe zapoznanie literatów z twórczością zgoła innego rodzaju, z techniką scenariusza filmowego, z tajnikami filmu i kinematografii. Nie chodziło w tym wypadku o doraźną zachętę dla literata, aby np. mając po napisaniu jednej książki dwa miesiące czasu do zaczęcia nowej wypełnił czas wolny, dajmy na to, opracowywaniem scenariusza filmowego. Pisanie scenariusza nie może być pracą na marginesie. Chodziło o to, aby w gronie młodych literatów znaleźli się tacy, którzy by talent pisarski oddali całkowicie na usługi filmu.

Formowanie treści kinowej odbywa się wedle zupełnie innych kanonów, aniżeli formowanie treści w powieści, jakkolwiek film może zapożyczać fabułę utworu literackiego. Trzeba pamiętać, że są pisarze, których sposób pisania jest wybitnie filmowy. Prelegent Filmu Polskiego, p. Lewicki, wymienił jako przykład pisarza filmowego Dickensa. W „Nowinach Literackich" czytaliśmy o filmowych walorach pisarskich Prousta. Zasadniczo jednak literatura i film kroczą całkiem innymi drogami. W prelekcji swej Lewicki wspomniał o oglądaniu świata jakby przez szybę, gdzie pewne elementy uchodzą możności uchwycenia przez naszą uwagę, jako o walorze autora filmowego. W następnej prelekcji Iwaszkiewicz, który zdanie to słyszał, nie omieszkał stwierdzić, że w literaturze nie wolno patrzeć na świat przez szybę.

Poza wieloma filmami zagranicznymi jak m. in. głośny film Orsona Wellesa „Obywatel Kane", francuski „Walka o szyny" i rosyjski „Czapajew" zobaczyliśmy na studium nowy, średniometrażowy film polski, będący próbą transpozycji noweli Prusa pt. „Nawrócony" na ekran. Ponieważ film ten nie był — zdaje się — jeszcze wyświetlany, poczuwam się do miłego obowiązku zasygnalizowania go jako filmu udanego. Jeżeli są jakieś braki, to w każdym razie nie są one rażące. Wydaje mi się jednak, że obsadzenie roli skąpca Łukasza przez Woszczerowicza nie jest właściwe.

Łączna liczba oglądniętych na studium w ciągu jednego tygodnia filmów dosięgła 15.

Wracając z Nieborowa w domowe pielesze, ktoś z nas dowcipnie powiedział:

— Nie byliśmy długo w kinie. Może się wybierzemy...

*

Dyrektor departamentu Literatury i Książki przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, Hieronim E. Michalski, organizator studium literackiego w Nieborowie, ogłosił wśród uczestników kursu ankietę: Co wpłynęło na to, że zacząłem pisać? Nie ogłosił natomiast ankiety: Co skorzystałem na studium?

Odpowiedź każdego z nas musiałaby brzmieć:

— Bardzo dużo.

Aleksander Widera.

AMELIA ŁĄCZYŃSKA

U nas na Wybrzeżu

TEATR

Teatr Wybrzeża po zdjęciu w końcu z afisza „Balladyny", która zdobyła rekord powodzenia, wystawił „Chorego z urojenia" Moliera. Kameralny objeżdża bliższe miasta z „Temperamentami" Cwojdzińskiego. Gdański Zespół Artystyczny dał w tych dniach premierę „Powrotu Posła" Niemcewicza i zdobył od razu powodzenie bardzo starannym opracowaniem, dobrą grą niektórych artystów (Nawrockiego w roli starosty, Heleny Degli w roli starościny i Hermanowicza w roli Szarmanckiego), efektownymi kostiumami i świetnymi wkładkami mimiczno-baletowymi. Sopot mający salę teatralną wciąż w remoncie, pozbawiony jest spektakli, publiczność szemrze, ale czekać musi. Tymczasem słuchy chodzą o organizowaniu teatru muzycznego w Gdańsku. Wprawdzie są to dopiero wstępne rozmowy, ale nie pozbawione całkiem podstaw realizacji, zwłaszcza, że obecnie wykańczana duża sala Polonii we Wrzeszczu powinna otrzymać jakąś poważną instytucję kulturalną jako stałego lokatora.

Zaczynają się także ruszać i podciągać prowincjonalne zespoły ochotnicze: Teatr Kaszubski w Wejherowie wystawił regionalną sztukę w gwarze ks. Sychty: „Przebudzenie". Zespół kierowany przez zawodowego aktora Trzywdar Rakowskiego grał bardzo dobrze. Teatr „Maska" w opuszczonym i za światem leżącym Elblągu wystawił: „Adwokat i róże" Szaniawskiego. Może zrealizują się w końcu marzenia miasta 30-tysięcznego, aby mieć swój stały teatrzyk. Organizuje się w Nowym Dworze w powiecie gdańskim objazdowy Teatr Ludowy. Będzie miał wspaniałą salę na 2.000 miejsc i fachowych kierowników. Premiera już niedaleko.

Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej, bardzo ruchliwe na naszym terenie, złożyło roczne sprawozdanie, z którego wynika, że obejmuje swą działalnością wszystkie powiaty. Najważniejszą jego funkcją jest prowadzenie szatni i wypożyczalni kostiumów dla zespołów amatorskich. I tu, zważywszy punkt zero, z którego w r. 1945 zaczęto pracę, obecna liczba 220 kompletnych strojów ludowych, stylowych i historycznych oraz 120 sztuk rekwizytów — jest ładnym osiągnięciem.

LITERATURA

Zakończenie konkursu ogłoszonego przez Woj. Radę Sztuki i Kultury na nowelę o temacie marynistycznym przyniosło dwie drugie nagrody (pierwszej nie przyznano zupełnie): A. Braunowi, młodemu talentowi z Łodzi za doskonałą nowelę opisującą przeżycia wojenne na statku radzieckim pod tytułem „Krokodyl" i J. Panasiewiczowi z Bydgoszczy za barwny i realistyczny opis życia w rybackiej wiosce nad Zalewem Wiślanym pod tytułem „Złodziej". Jedną z trzech trzecich nagród otrzymał Wiśniarowski, ślusarz ze stoczni gdańskiej za opowiadanie pod tytułem „Na Stoczni". Wojewódzka Rada Sztuki i Kultury zamierza wydać obecnie w książce 5 nowel nagrodzonych i 5 wyróżnionych. Mecenasując wszystkim sztukom pięknym na równi, zaprosiła Związek Plastyków do opracowania konkursu na ilustracje do owej książki. Równocześnie przygotowuje się już ogłoszenie następnego konkursu literackiego na sztukę dziecinną.

STAROGARD

Jedno ze znaczniejszych miast wojew. gdańskiego, stolica ciekawego regionu Kociewia obchodzi w tym roku 750-lecie swego powstania. Uroczyste otwarcie roku jubileuszowego odbyło się 11 stycznia nagromadzeniem kulturalnych imprez: otwarcie szkoły muzycznej, otwarcie wystawy obrazów, akademia i dwa przedstawienia pod rząd „Temperamentów" Teatru Kameralnego I. Galla. Starosta ob. Ziółkowski, referent K. S. H. Domurad i władze miejskie dołożyły usilnych starań, aby wszystko wypadło okazale i sprawnie. Wystawa obrazów zasługuje na uwagę: powstała dzięki ofiarowaniu na nią kilkudziesięciu prac Wyczółkowskiego przez inż. leśnika ob. Szulisławskiego, który posiada ten cenny zbiór wprost z rąk artysty i jego rodziny. Poza tym reprezentowani na wystawie są: W. Kossak i J. Malczewski. Jak na zniszczoną i biedną prowincję, tych kilku dobrych mistrzów stanowi rzadkość prawdziwą.

Jeśli już o wystawach mówimy — warto wspomnieć wystawę J. Cybisa w Sopocie, z której Rada Sztuki i Kultury zakupić ma dwa obrazy.

W Elblągu urządzili miejscowi malarze w grudniu także wystawę na poziomie wymagań swoich odbiorców i widzów. A co do Elbląga w ogóle, to jego rozpaczliwa sytuacja zupełnego opuszczenia kulturalnego poprawi się może z chwilą wprowadzenia lepszej komunikacji z Wybrzeżem przez uruchomienie pociągów. W końcu bowiem po raz wtóry odbudowany most na Wiśle został otwarty w Tczewie, co skróciło wybitnie trasę naszą do Warszawy i zbliżyło cztery powiaty prawowiślne do centrali wojewódzkiej. Teraz zatem nie będzie już przeszkód, aby krew ze serca województwa spływać mogła swobodnie do tych oddalonych kończyn organizmu administracyjnego i ożywiała je skutecznie.

Amelia Łączyńska.

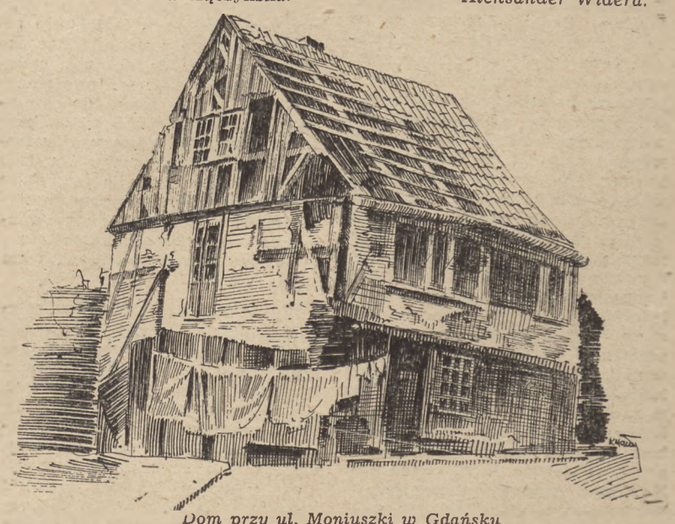

Dom przy ul. Moniuszki w Gdańsku

Tłum. MAŁGORZATA STANISŁAWSKA

Królewskiej Mości

— Jest przecie coś, co Wasza Książęca Mość może zrobić, jeżeli wolno mi to rzec — powiedziałam.

— Cóż to takiego?

— Wydać rozkaz, że z chwilą, gdy Wasza Książęca Mość wraz ze swą Radą wypłyną na morze, Sir Ryszard Grenvile będzie mógł również uciekać, mając prawo do rekwirowania łodzi rybackiej na wyjazd do Francji.

Książę Walii patrzył na mnie przez chwilę, a potem uśmiech rozjaśnił całą jego brzydką fizjognomię.

— Ma szczęście Sir Ryszard Grenvile, że posiada sprzymierzeńca tak wiernego, jak Wasza Miłość. Gdybym się kiedykolwiek znalazł w jego skórze i był zmuszony do ucieczki, pragnąłbym polegać na kimś, kto miałby choć połowę tego oddania.

Spojrzał przez salę na Jack'a.

— Potrafisz to wykonać, prawda? — spytał. — Natychmiast ci dam pismo.

W dwa dni później lord Hopton został pobity pod Torrington i cała armia zachodnia znalazła się w pełnym odwrocie przez Tamar. 25 lutego Fairfax zajął Launceston, a 2 marca, przeszedłszy bagna, stanął pod Bodmin. Tejże nocy książę Walii wraz z całą Radą odpłynął fregatą „Fenix" — i tak się zakończyła wojna na zachodzie.

W dniu w którym lord Hopton podpisał rozejm z generałem Fairfax'em w Truro, przyjechał mój szwagier, Jonatan Rasleigh, z pozwoleniem Parlamentu, by zabrać mnie znowu do Menabilly.

Nie rozmawialiśmy wcale. Nie znajdowaliśmy potrzebnych na to słów. Minęliśmy most św. Błażeja. Jonatan pokazał wartownikowi przepustkę na punkcie kontrolnym. Wartownik przyglądnął się nam nieufnie, a potem ruchem głowy dał znać, że możemy jechać dalej. Wszędzie ich było pełno. Na drodze, we drzwiach wiejskich chałup w Tywardreath, przy granicy, u stóp wzgórza Polmar.

Mieliśmy więc odtąd już zawsze prosić w głębokiej pokorze, by nam pozwolono podróżować własnymi naszymi drogami. Nie przerażało mnie to osobiście, bo oto właśnie okres moich podróży dobiegał końca.

Ryszard Grenvile bowiem uciekł przez morze do Francji.

* * *

Klęska i spuścizna wojny... Nie jest to rzecz miła dla zwyciężonych.

Dobra mego szwagra, Jonatana Rasleigh, tak jak i całej szlachty która walczyła po stronie Króla, zostały zasekwestrowane przez miejscowy Komitet. Powiedziano mu, że musi zapłacić około tysiąca osiemdziesięciu funtów grzywny, zanim będzie mógł odzyskać je z powrotem. Miał możność wyjechać do Francji, tak jak to zrobiło wielu naszych sąsiadów, ale więzy, które go łączyły z ziemią były zbyt silne; w czerwcu, złamany i zgnębiony, udał się do Zgromadzenia Narodowego, przed którym przysiągł, że nigdy już nie chwyci za broń przeciwko Parlamentowi. Wkrótce potem wezwano go do Londynu, gdzie kazano mu pozostać, póki nie spłaci całej kwoty. W ten sposób jeszcze jedno ognisko domowe zostało rozbite i my w Menabilly zakosztowaliśmy w całej pełni smaku klęski.

Dla mnie, która od wielu miesięcy nie mogłam nigdzie zagrzać miejsca, możność wypoczęcia w domu, wśród ludzi, których kochałam, była czymś niezwykle błogim, nawet mimo tego, żeśmy wspólnie musieli dzielić los zwyciężonych. Niech Bóg błogosławi Rasleighów, że mi pozwolili spędzić te miesiące w Menabilly. Dom był nagi, odarty ze swojej dawnej wspaniałości, ale miałam tam przynajmniej pokój, który mogłam uważać za swoją własność. Parlament mógł obrabować Menabilly ze wszystkiego, zabrać owce i bydło, przywłaszczyć sobie zbiory, ale nie było w jego mocy odjąć nam piękna tego widoku, który był tam chlebem powszednim Rasleigh'ów — i moim.

* * *

Matty zanosi mnie na górę. Podczas gdy szczotkuje mi włosy i związuje przepaską wijące się pukle, czuję, że jestem niemal że szczęśliwa. Rok już upłynął i mimo poniesionej klęski żyjemy, ożywieni wolą przetrwania.

— Dziwne plotki dziś słyszałam w Fowey — mówi Matty spokojnie. — Nasi przemykają się z powrotem, po jednemu, po dwóch, po trzech... Ci, co uciekli do Francji rok temu.

— Po cóż by mieli wracać? Nic przecie teraz nie wskórają.

— Coś mówią o jakimś wielkim dowódcy, który jedzie z kontynentu i ma potajemnie wylądować w Plymouth. Ubrany jest ponoć w czarną opończę, by pod nią ukryć swe rodowe barwy. Ale nie mówili, kto to taki.

Plotki. Ciągle tylko plotki. Nigdy nic pewnego. Karmiliśmy tym serca od wczesnej wiosny 1647, do wiosny 1648.

Nazwiska, których od dwóch lat nikt nie wspominał, teraz nagle zaczęły wybiegać na strwożone wargi. Trelawney... Trewannion... Arundell... Bassett... Grenvile... Tak, Grenvile częściej od innych. Sir Ryszard Grenvile powrócił! Sir Ryszard Grenvile jest już w Kornwalii.

Pewnego dnia marcowego spoglądałam na morze, patrząc, jak przelotne cienie kładą się na zmarszczoną powierzchnię wody pod Pridmouth. Niespodziewanie usłyszałam czyjeś kroki na ścieżce, która biegła poniżej wału i spytałam, kto idzie. Kroki ucichły, nikt się nie odezwał.

Czekałam chwilę, z oczyma wciąż utkwionymi w okno, a wtedy nagle jakiś cień upadł na moje prawe ramię i domyśliłam się, że ktoś stanął we drzwiach. Odwróciłam się błyskawicznie z całym fotelem i ujrzałam wtedy niską i drobną postać męską, którą okrywały gładkie, ciemne suknie, takie, jakie noszą w Londynie niżsi urzędnicy. Kapelusz nasunięty głęboko, zakrywał niemal całkowice jego twarz.

— Kim waćpan jesteś? — spytałam. — I czego sobie życzysz?

Kiedy tak stał na jednej nodze z wahaniem, było w jego postawie coś, co poruszyło we mnie strunę przypomnień... Gorączkowo usiłowałam sama znaleźć odpowiedź. Serce zabiło we mnie gwałtownie, gdy zdjął kapelusz, ukazując gęste, ciemne loki i gdy ujrzałam jego uśmiech, niepewny z początku i drżący. Spotkawszy moje spojrzenie i ujrzawszy me ręce, wyciągające się ku niemu, uśmiechnął się już inaczej.

— Dick! — zawołałam szeptem.

Podbiegł natychmiast i ukląkł przy fotelu, obsypując me ręce pocałunkami. Lata, które minęły od chwili naszego rozstania uleciały w tej chwili z mej pamięci i oto znowu trzymałam w ramionach małego trwożliwego chłopca. Ale potem, gdy podniósł głowę, zobaczyłam, że nie jest już małym chłopcem, ale młodzieńcem, któremu pierwszy wąs sypie się na wardze. Loki, dawniej niesforne, a teraz gładkie i lśniące, okalały mu twarz.

— Cztery lata! — rzekłam. — Przez te cztery krótkie lata zdołałeś tak strasznie wyrosnąć?

— Za dwa miesiące minie mi ośmnaście wiosen — odparł.

— Powiedz mi prędko, zanim przyjdą tu po mnie z domu, skąd się tu wziąłeś i po co?

— Czyżbym tu przybył pierwszy? — spytał zdziwiony. — Ojca tu jeszcze nie było?

Serce zabiło mi gwałtownie, ale nie wiem: z radości, czy z trwogi. W błysku olśnienia wydało mi się, że wiem już wszystko.

Skończyło się oczekiwanie z ostatnich tygodni. Wszystko miało się teraz rozpocząć od nowa... Znowu się to miało zacząć!

— Nikogo tu nie ma prócz ciebie — odrzekłam. — Nawet Rasleigh'ów nie ma w domu.

— Tak, wiedzieliśmy o tym. Dlatego właśnie wybraliśmy sobie Menabilly.

— Do czegoście je sobie wybrali?

— Powiedzą wszystko Waszej Miłości jak przyjdą — odrzekł, mrugając powiekami.

— Kto taki? — spytałam.

— Przede wszystkim mój ojciec. Potem Ambroży Manaton, pan na Trecarel, potem brat Waszej Miłości, pan Robin Harris, no i oczywiście moja ciotka Gartred.

Gartred!...

— Myślę, że najlepiej będzie — powiedziałam z namysłem — jeśli mi opowiesz co się działo od chwili waszego wyjazdu do Anglii.

— Wyjechaliśmy z Włoch zeszłej jesieni i najpierw przybyliśmy do Londynu; ojciec był przebrany za holenderskiego kupca, a ja za jego sekretarza. Od tego czasu zjeździliśmy całą Anglię wzdłuż i wszerz, niby to jako zagraniczni kupcy, a właściwie, jako wysłannicy Księcia. W samo Boże Narodzenie przeszliśmy przez Tamar do Kornwalii. W Orley Court zastaliśmy ciotkę Gartred, która posprzeczawszy się z przyjaciółmi z Parlamentu, przyjęła nader gorąco nas, a także brata Waszej Miłości, pana Robina.

— A co potem?

— Potem projekty dojrzały, klany się zgromadziły. Wszyscy są z nami, wszyscy, od wschodu po zachód, jak Kornwalia długa i szeroka. Trelawney'owie, Trevannion'owie, Bassett'owie, Arundell'owie... A teraz czas nadszedł. Czyścimy muszkiety i ostrzymy szpady. Wasza Miłość będzie siedzieć w pierwszym rzędzie na tym widowisku!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Elżbieta Barszczewska (Infantka) i Nina Andrycz (Szimena)

»Cyd«

W XI stuleciu żył Don Rodrygo Diaz de Bivar.

Pieśń bezimiennego poety z XII wieku wielbi jego bohaterstwo i osobistą dzielność.

W początkach XIV wieku powstaje na motywach tej pieśni romancero o Cydzie, który staje się bohaterem narodowym Hiszpanii.

W wieku XVI Guillen de Castro y Bellois napisał sztukę, w której zebrał pieśni o Cydzie. Wystawiono ją w Walencji p. t. „Las Mocedades del Cid".

Z Hiszpanii powędrowała do Francji i tak powstał w 1636 roku francuski „Cyd" — dzieło Corneille'a, który przede wszystkim skupił swoją uwagę na konflikcie Don Rodryga, który musi wybierać między miłością a honorem. Honor zwycięża. Drugi ważny moment to aspekt polityczny. Corneille podkreśla kilka razy rolę możnowładców, których starał się, panujący wówczas we Francji, Ludwik XII podporządkować państwu. W dramacie zwycięża król, któremu Rodrygo - Cyd składa u stóp hołd i sztandary wroga. Zwycięża już wtedy późniejsze nieco hasło absolutnej władzy monarszej: „L'Etat c'est moi"!

W tym duchu przekłada u nas „Cyda" Andrzej Morsztyn, wielki zwolennik polityki francuskiej. „Cyd" wystawiony został w r. 1661 na dworze Jana Kazimierza z okazji powrotu do Polski Prus i Inflant. Było to pierwsze w Europie tłumaczenie „Cyda".

Następny przekład — Osińskiego — rozminął się z intencją Corneille'a. Osiński patrzył na dramat tylko od strony teatru i pozwolił sobie na pominięcie Infantki, która nie miała według niego żadnego wpływu na akcję. „Cyd" w jego przeróbce wystawiony w r. 1820 był armatą klasycyzmu warszawskiego, wytoczoną przeciwko romantyzmowi. Grano go w Krakowie, we Lwowie i na wielu scenach amatorskich.

Zdawało by się, że na tym skończy się w Polsce kariera dalekiego bohatera hiszpańskiego. Tymczasem genialny talent autora „Wesela" dojrzał w tym dziele wartości, które skłoniły go do tłumaczenia.

26 października 1907 r. odbyła się w Krakowie trzecia premiera „Cyda"! Wystawiony przez L. Solskiego, który w czasie przygotowań stale kontaktował się z Wyspiańskim, zasięgając jego rad i wskazówek. Wyspiański narzucił w dekoracjach i kostiumach styl Veronesa i Velasqueza, a w inscenizacji tradycję Morsztynowską. Dopisał prolog, zaczynający się od słów: „W sali, w zamku w Warszawie przed Janem Kazimierzem na teatrze, czasu obrad sejmowych odegrano Cyda-Roderyka..." Przywrócił — początkowo pominięte — opowiadanie Rodryga o bitwie. Rozbudował i pogłębił — w porównaniu z Corneillem — postać Infantki.

Stała się ona w ujęciu Wyspiańskiego mocnym przeciwstawieniem Szimeny, która mając na względzie jedynie honor rodu żąda zemsty na Rodrygu, bez względu na uczucie, jakie żywi ku niemu. Infantka darzy Rodryga sympatią, ale zdając sobie sprawę z różnicy stanowiska, jaka ich dzieli (przy tym Rodrygo jej nie kocha, tylko Szimenę), broni się przed opanowującym ją uczuciem, które wybucha silnie po zwycięstwie Cyda nad Maurami, stawiającym go w rzędzie najznakomitszych wodzów. W sławnym monologu, po długiej wewnętrznej rozterce, rezygnuje z miłości na rzecz Szimeny, która jest zdawna przeznaczoną na żonę Rodrygowi. I jeszcze raz przychodzi do głosu uczucie, aby ostatecznie zostało stłumione w znamiennych słowach:

„Żegnajcie, — bądźcie zdrowe
miłości sny szalone!
Po życie sięgnę nowe:
we szczęściu ludu mego
w bólu i łzach święcone.

Akcent nieznany Corneille'owi, przydany Infantce przez autora „Wyzwolenia". Rezygnuje ona dobrowolnie ze szczęścia osobistego na rzecz sprawy narodowej. Podobnie ma się rzecz z Rodrygiem,

Gustaw Buszyński (Don Gomez) i Jan Kreczmar (Don Rodrygo)

gdy mówi przed pojedynkiem z ojcem Szimeny:

„Gdy ją na wieki mam utracić,
niechaj Ojczyzna mi zostanie.
Gdy miłość nie chce mnie bogacić,
niech miłość kraju starczy za nią".

Ten akcent jest wyłączną własnością Wyspiańskiego i ustawia Corneille'owski dylemat: miłość i honor w szerokich perspektywach: szczęście osobiste i służba Ojczyźnie. Ton patriotyczny narasta stopniowo, aby najsilniej uderzyć w opowiadaniu Cyda o bitwie:

... „Że tu nie można ginąć
z rozpaczy z rozkochania,
bo jakieś prawo wyższe
rozpaczy tej przygania.
Bo cale krew się burzy
ze źródeł nowych rwiąca.
Że mam być tu obrońca
co u Ojczyzny służy".

Nie jest winą reżysera Edmunda *Wiercińskiego*, że ten główny nurt tragedii nie został należycie wydobyty. *J. Kreczmar* doskonale oddał bohaterski patos opowiadania o bitwie, ale czułem się zaskoczony potęgą przeżycia w tej scenie, bo jego nazbyt zimne do tego momentu wnętrze, niczym tego nie zapowiadało. Nie widziałem i nie czułem procesu narastania. Wydaje mi się, że błąd tkwi w nazbyt afektownym potraktowaniu monologu w I akcie, gdzie bardzo ważne słowa: „Gdy miłość nie chce mnie bogacić, niech miłość kraju starczy za nią" — będące źródłem myśli patriotycznej tragedii — zostały zagłuszone nieodpartą ochotą zamordowania Don Gomeza i wielkim krzykiem „Pomsto bywaj!" Ale już jeżeli tak bardzo Rodrygowi śpieszy się do zemsty — to dlaczego cofa się dla powiedzenia ostatniego refrenu? Wygląda to trochę operowo i tkwi w tym pewien brak konsekwencji. Chyba, że reżyserowi chodziło o efektowne zakończenie aktu.

Szimena to chyba najtrudniejsza rola w sztuce. Patrząc dziś z perspektywy stuleci na tę postać — szarpaną niską namiętnością zemsty, płynącej z poczucia aż chorobliwej dumy rodowej — nie bardzo możemy ją zrozumieć. *Nina Andrycz* wyposażyła ją dodatkowo co nie znaczy: wzbogaciła we wrodzoną demoniczność, podkreślając przeżycia wewnętrzne nie zawsze trafnie, a często stosowanymi ruchami głowy i ramion. Niepotrzebnym wydaje mi się rozbijanie tekstu, który u Wyspiańskiego płynie jak melodia, łącząc poszczególne frazy w harmonijną całość. Dzielenie takie wytwarza przykrą dla ucha jednotonowość i nuży słuchacza.

Infantka *Barszczewskiej* to bodaj najlepiej zrobiona rola. Początkowa nerwowość w głosie i ruchach, przypominająca chwilami scenę obłędu Ofelii w „Hamlecie", ustępuje miejsca pełnemu poezji liryzmowi w monologu „Czyli ten ogień, którym płonę...", aby najwspanialej zabrzmieć szlachetnym patosem uczucia w scenie z powiernicą.

Znakomitą postać ambitnego, pełnego dostojeństwa i pychy możnowładcy — w niewielkiej roli Don Gomeza — stworzył *G. Buszyński*, jakby żywcem przeniesiony z portretu Velasqueza.

Widowisko sprawnie wyreżyserowane przez *E. Wiercińskiego*, ujętę przez inscenizatora w ramy prologu i epilogu wierszem - listem Wyspiańskiego do Adama Chmiela: — „I ciągle widzę ich twarze...", obfituje w cały szereg pięknie malarsko skomponowanych obrazów. Przyczyniły się do tego wspaniałe, stylizowane na wzorach maurytańskich, pałacowe dekoracje *T. Roszkowskiej*, której dziełem są także piękne kostiumy, wzorowane — zgodnie z tradycją pierwszego przedstawienia — na obrazach Velasqueza.

Ciekawie rozwiązana jest sprawa miejsca akcji, której pewne fragmenty odbywają się na tarasie pałacu królewskiego, zajmującego lewą, a inne — prawą część sceny, na schodach pałacu Don Gomeza. Lewa — nazwijmy ją częścią Infantki — skomponowana po malarsku, z elementów potraktowanych symbolicznie: kolumna, kotara, fotele (te ostatnie nie pasują swym francuskim wyglądem do całości!); prawa — część Szimeny — raczej realistyczna (schody, kolumna, świecznik, arkady) — tworzy wyraźnie zarysowany fragment architektury. Obie części spięte biegnącym górą, śmiałym łukiem. W środku — na dalszym planie — lekkie, ulatujące zda się w powietrzu, kolumnady. Obrotowa scena przesuwa wahadłowym ruchem to lewą, to prawą część dekoracji przed oczy widowni, przenosząc akcję z tarasu przed pałacem królewskim na schody do krużganka pałacu Don Gomeza.

Zbigniew Pejot

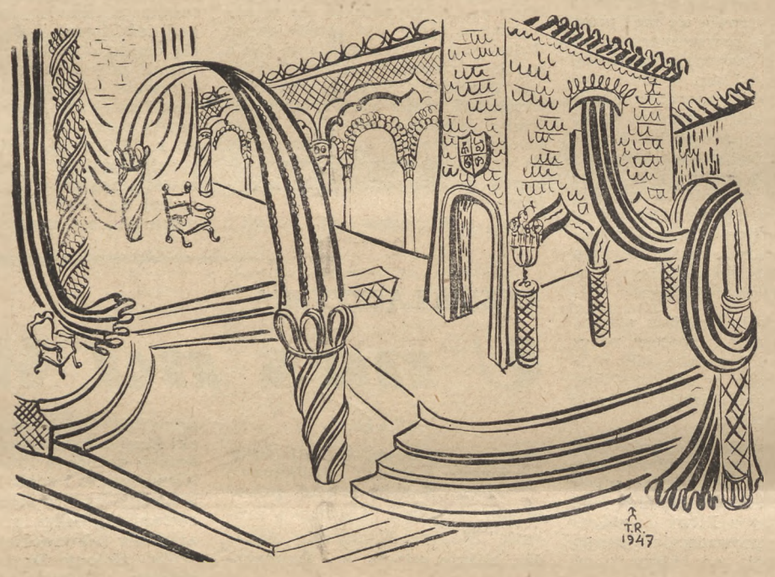

Teresa Roszkowska — Projekt dekoracji

Wśród czasopism

Jest przyjętym zwyczajem, że numery specjalne, poświęcone jednemu tematowi wydają czasopisma dla uczczenia jakiegoś faktu, jakiegoś dzieła czy człowieka. Dlatego nikomu nie przyszło jeszcze do głowy wydanie numeru specjalnego, poświęconego „Filmowi Polskiemu". Dlatego też trochę ryzykowną jest próba specjalnego numeru tygodnika *„Dziennik Literacki"*, poświęconego Polskiemu Radiu. Z treści wynika, że Polskiemu Radiu, bo o radiofonii w ogóle, w szerszym znaczeniu tego słowa, nie ma tam mowy niemal zupełnie. Ponieważ znaczną większość materiału dostarczyli pracownicy lub bardzo bliscy współpracownicy radia, numer ma charakter propagandowy. A radio to już taki dziwny instrument, że tego rodzaju propagandy nie potrzebuje. Najlepszą i najskuteczniejszą propagandą radia jest dobry program.

Przy tym wszystkim ów radiowy numer *„Dziennika Literackiego"* wypadł dosyć mizernie. Poruszono trzy tylko zagadnienia: działalności oświatowej Polskiego Radia, literatury w radio, muzyki i krytyki radiowej. Poza tym znalazły tu miejsce: fragment dramatu radiowego Heleny Wielowieyskiej „Upadają Bastylie", felietonik Wielowieyskiej i Zdzisława Nardellego „O pograniczu powieści i grafomanii" oraz fragmenty zradiofonizowanego przez A. Bohdziewicza opowiadania Aragona „Prawo rzymskie przestało istnieć". Opowiadanie to znane jest dosyć powszechnie w swej autentycznej formie i podawanie go w formie zradiofonizowanej ma sens tylko przed mikrofonem.

O Polskim Radio „W służbie oświaty i kultury" pisze dyrektor Rozgłośni krak., Jerzy Ronard Bujański. Pisze dużo komunałów, aż za dużo jak na temat, który jest stosunkowo łatwy i najmniej nasuwający zastrzeżeń. Bo działalność oświatowa Polskiego Radia stanowi osiągnięcie ciekawe i poza pewnymi zastrzeżeniami natury progra mowej pożyteczne. Cykl „Nauka przy głośniku" szedł od początku kiepsko, a w ostatnich miesiącach dalej wyraźnie podupada. Robiony jest jakoś bez serca i trochę bez głowy. W sposób planowy i systematyczny, natomiast przeprowadzony został w programie pierwszy cykl Radiowego Uniwersytetu Ludowego. Temu cyklowi zarzucić można jednostronne naświetlenie wielu zagadnień naukowych i wielu dziedzin wiedzy, ale jako środek szerzenia oświaty cel swój spełnił on niewątpliwie w dużym stopniu i może być policzony w niewielki poczet zasług polskiej radiofonii powojennej. Uzupełnienie tego cyklu prelekcji serią niedrogich wydawnictw też ma swoje znaczenie. Na tym jednak odcinku poważnym zaniedbaniem radia jest niedostateczna troska o audycje dla szkół, o których przez długi czas w Warszawie nie myślano zupełnie i które nadal nie znajdują odpowiedniej opieki i właściwego miejsca w programie. Przy powojennych niedostatkach naszego szkolnictwa, niedostatkach w personelu nauczycielskim, pomocach i podręcznikach jest to zaniedbanie jedno z poważniejszych.

Nie ma też trudnej roli Jerzy Broszkiewicz, pisząc o muzyce w Polskim Radiu. Rzeczywiście w tych, powojennych latach radiofonia nasza zrobiła dla muzyki i jej upowszechnienia wiele. Słusznie, jak pisze Broszkiewicz, można mówić o pewnego rodzaju mecenacie muzycznym Polskiego Radia. Ten mecenat osiągnął dotychczas pewne rezultaty przede wszystkim w zakresie muzyki symfonicznej. Autor postuluje, by praca ta objęła również zaniedbaną u nas fatalnie muzykę kameralną, operową, by zatroszczono się także o poziom kompozytorski i odtwórczy muzyki ludowej i lekkiej. Kameralne zespoły radiowe nie stoją jeszcze, zdaniem Broszkiewicza, na odpowiednim poziomie, a stan muzyki ludowej i lekkiej przedstawia się w ogóle źle. W audycjach muzyki ludowej panuje niepodzielnie szablon repertuarowy i instrumentacyjny, w którym królują mazury Kątskiego, muzyka taneczna, jazzowa kultywuje nadal tradycje polskiego „tanga-rzewniaka", w czym wielkie zasługi ma orkiestra tanecz na Jana Cajmera. Zaniedbanie, albo raczej zachwaszczenie i złe zorganizowanie tych dwóch pozycji programu muzycznego w radiu jest szkodliwe ze względów pedagogicznych, a drugą dziedziną mecenatu muzycznego Polskiego Radia musi być umiejętna i systematyczna pra ca nad umuzykalnieniem słuchacza. Autor artykułu uważa, że w tej dziedzinie radio robi za mało.

Najszerzej rozpisał się Zygmunt Leśnodorski o radiu i literaturze. Pierwsza część jego wywodów, stwierdzająca duże znaczenie radia w popularyzacji dobrej literatury, zarówno prozy jak poezji, w szerzeniu kultu żywego słowa jako formy podania dzieła literackiego odbiorcy, nie budzi zastrzeżeń. Mniej przekonujące są już słowa, które pisze o słuchowiskach w Polskim Radiu. Słuchowisko jako nowa, zaniedbana u nas po wojnie forma wypowiedzi twórczej pisarza jest jedną z najsłabszych pozycji programu radiowego w ostatnich trzech latach. Brak repertuaru i bardzo niewysoki poziom wykonawczy, szablon roboty mikrofonowej, łatwizny techniczne i treściowe, przypadkowość i brak smaku w wyborze, to cechy zasadnicze, którymi można by scharakteryzować sytuację słuchowiska w naszym radiu. Obiektywnie stwierdzić trzeba przejawy zmian na lepsze w ostatnich miesiącach. Już tra fiają się słuchowiska interesujące pod każdym względem i reprezentujące właściwe temu typowi audycji walory dość wszechstronnie. Jedną z najpiękniejszych audycji słuchowiskowych typu poetyckiego był np. „Portret Muzy" — Gałczyńskiego. Ta dziedzina programu, to jeszcze pole prób i eksperymentów często nie bardzo celowych i to często jeszcze pole popisu dyletantów techniki słuchowiskowej w szerokim tego słowa znaczeniu. Leśnodorski dla rozwoju znaczenia radia dla literatury w sensie jej upowszechnienia stawia cztery warunki: najszersze udostępnienie radia, pozyskanie słuchaczy dla słowa mówionego, zwiększenie ilości odcinków literackich i wreszcie współpraca pisarzy. Punkt pierwszy to zagadnienie osobne, o którym dużo można by napisać. Punkt drugi jest bardzo trudny w obecnym stanie rzeczy, kiedy w radio słowna część programu przedstawia malutki koszmar. Kto nie wierzy, niech posłucha reportaży dźwiękowych, transmisji, audycji „Co mówi Śląsk", „Przy sobocie po robocie", niektórych „konferansjerek", wielu, bardzo wielu pogadanek, felietonów „Czasy i ludzie", fatalnie recytowanych wierszy, ośmieszania prozy Żeromskiego przez Wyrzykowskiego, niech wsłucha się w głosy speakerów. Jeśli mu jeszcze mało, niech przysłucha się tekstom śpiewanych tak hojnie w Polskim Radiu „rzewniaków". To go dobije. Ten warunek Leśnodorskiego stawia Polskiemu Radiu wysokie wymagania. Jeśli idzie o ilość odcinków literackich w programie, był okres, że było ich za dużo. Teraz jest mniej, może w niektóre dnie naprawdę czasem za mało i naprawdę zbyt skąpych w swej różnorodności. Ale z tym nie należy przesadzać. A współpraca pisarzy z Polskim Radiem? Naprzód nie opłacała się zupełnie i szanujący się pisarz nie miał w radiu wiele do szukania. Teraz jest pod tym względem lepiej, ale pisarze już sobie wyszukali inne zainteresowania. Potrzebne jest dopiero jakieś ściślejsze nawiązanie kontaktu przez wszystkie rozgłośnie regionalne, może jakieś konkursy zamknięte, słowem, stworzenie jakiejś atmosfery w stosunkach radia z pisarzem. Radio potrzebuje pisarza dotychczas przeważnie tylko wtedy, gdy ma dla niego zamówienie na rzecz okolicznościową. A do tego niewielu piszących u nas się nadaje.

Marian Promiński w swoim artykule zupełnie słusznie pisze o potrzebie krytyki radiowej, której brak u nas po wojnie zupełnie. Uzasadnia trafnie jej znaczenie. Ale kto to będzie robił i gdzie? Tu chyba radio musiałoby dać na początek miejsce w swojej prasie, nie krępując swobody wypowiedzi i nie traktując ich reklamowo. I znów w jakiej prasie? W tej nędzocie, jaką reprezentuje tygodnik „Radio i Świat"? (ki)

Na fali 19,43

Akcja nowej sztuki Ilii Erenburga zapowiedzianej p. t. „Lew na placu", rozgrywa się w małym miasteczku francuskim. W radzie miejskiej zasiadają wczorajsi zwolennicy Hitlera, czy też — jak ktoś woli — kolaboracjoniści. Pewien bogaty Amerykanin, nie mający zielonego pojęcia o sztuce, ale znający natomiast wartość dzieła sztuki w dolarach — przybywa do tego miasteczka, aby nabyć kilka „cennych drobiazgów" i spieniężyć je później z grubym zyskiem w swojej ojczyźnie.

Powtarzającym się do znudzenia tematem rozmów radnych miejskich jest obiecana „pomoc amerykańska", która ma — według opinii mera — „zbawić" Francję. Mer po rozmowie z amerykańskim kupcem jest przekonany o tym, że owa wymarzona pomoc zależy właśnie od przybysza; o nim sądzi, iż jest jakimś znakomitym dyplomatą.

Wybredny spekulant amerykański natrafił w swoich poszukiwaniach na rzeźbę lwa, antyczną rzeźbę pochodzącą z piętnastego wieku; w owym miasteczku była ona powszechnie szanowaną ozdobą placu Stalingradzkiego, symbolizowała bowiem dla mieszkańców wolność republiki francuskiej. Radni miasta pod naciskiem mera i w lęku o obiecaną pomoc dla Francji (która rzekomo zależy od handlarza, chcącego koniecznie nabyć ową rzeźbę) sprzedają mu ją. Zakończenie sztuki jest optymistyczne: robotnicy postanawiają nie dopuścić do ubicia tego interesu. Udaje im się to.

Interesującą zapewne dla polskiego czytelnika będzie przechadzka po teatrach radzieckich, znajdujących się w jednym mieście. Dokonajmy takiego „repertuarowego przekroju" poprzez teatry leningradzkie. A więc: największym wydarzeniem teatralnym Leningradu jest wystawiona obecnie w Małym Akademickim Teatrze Opery premiera W. Muradeliego „Wielka Przygoda".

Akademicki Teatr Opery i Baletu wystawił nową operę I. Dzierżyńskiego „Książę Jezioro". Jej tematem jest walka partyzantów radzieckich z okupantem.

Akademicki teatr dramatyczny wystawił sztukę A. Dowszenki „Kwitnące życie", która cieszy się wyjątkowym powodzeniem.

Wielki Teatr Dramatyczny im. Gorkiego gra nową sztukę G. Bierieskiego „Męstwo". W próbach teatru znajduje się sztuka „Na naszej ziemi" O. Bergholca i G. Makaronienki. Komedia W. Massa i M. Czerwińskiego „O przyjaciołach — towarzyszach" zdobywa oklaski w Teatrze Komedii. Teatr Nowy wznowił „Drogę krzyżową" Aleksego Tołstoja, leningradzki Teatr Dramatyczny wystawił sztukę „Miarka za miarkę".

Drukowana w polskim przekładzie w odcinku „Trybuny Robotniczej" powieść Petra Wierszyhory „Ludzie o czystym sumieniu" doczekała się scenicznej przeróbki, gra ją obecnie Teatr im. Leningradzkiego Komsomołu.

Studium Operowe Leningradzkiego Konserwatorium wystawiło operę dla młodzieży — „Cudowny Strumień" L. Szwarca. Sztukę S. Michałkowa „Czerwony krawat" gra leningradzki Teatr Młodego Widza.

Na zdjęciu znakomity artysta Związku Radzieckiego, Aleksander Pirogow w roli Godunowa

Teatr Lalek Demeniego wystąpił ze sztuką S. Marszaka „Cudowne Rzeczy", Państwowy Teatr Lalek gra baśń sceniczną Szwarca „Czarodzieje". Na tym nie kończy się lista premier, bo jeszcze Teatr Komedii Muzycznej wystawił dwie operetki: Dunajewskiego „Wolny wiatr" i J. Milutinia „Słowik z tajgi".

Tyle wszystkiego w jednym Leningradzie.

*

Oglądaliśmy niedawno na naszych ekranach film „Dusze nieujarzmione", którego scenariusz opracowano według znanej powieści Gorbatowa pod takim samym tytułem. Obecnie jeden z wybitnych kompozytorów radzieckich, Kabalewski, skomponował i napisał operę pod tym tytułem, przerabiając w tym celu również powieść Gorbatowa.

Młody poeta tbiliski, I. Nonejkwili napisał libretto do opery kompozytora gruzińskiego D. Toradze, którą wystawia obecnie pod tytułem „Zew gór" Teatr Opery i Baletu im. Paliaszwilli w Tbilisi. *aw*

Krótkie spięcia

O pewne słówka

Niby wiadomo, wojna i tak dalej, więc w skutkach demoralizacja oraz to i tamto, — ale coś by jednak z tym trzeba robić, aby poprawić chociaż trochę langaż naszej młodzieży.

Bo to jest tak:

Idzie się ulicą, jedzie się tramwajem, jedzie się pociągiem i wszędzie słyszy się, jak rozmawiają tzw. młodzieńcy. Obojętnie, czy są lepiej czy gorzej ubrani, albo czy pochodzą z takiej czy innej sfery, wszyscy zaczynają rozmowę czy pogawędkę od — no jakby powiedzieć? — od bardzo brzydkiego słowa, które zawsze obraża jakąś bliżej nieokreśloną — matkę. A jak nie zaczynają tym słowem, to nim kończą, a jak nie kończą, to robią z niego cezurę między jednym a drugim zdaniem, a jak nie robią owej cezury, to w ogóle czynią z niego jakąś pomocniczą wstawkę monologową w rodzaju „panie dzieju", czy po prostu „prosz pana".

To, że się tak wyrazimy „maciowanie" jest czymś do tego stopnia nagminnym i do tego stopnia powszechnym, że już nawet nie budzi wśród przygodnych słuchaczy protestu. Ot, myślą ludziska, widocznie tak już być musi...

A młodzian jeden z drugim, obojętnie czy mówi o sprawach szkolnych, rodzinnych, czy publicznych, o przeczytanych książkach, czy o widzianych filmach — furt tylko maciuje, maciuje i maciuje. Nie krępuje go zupełnie obecność kobiet, czy osób starszych, nie krępuje go w ogóle nic. Skądżeżby tam...!

Młodzian jest zdania, że właśnie tak, a nie inaczej, należy mówić. I że to jest dowodem męskości, a nawet pewnego rodzaju „fasonu". I że ten sposób wyrażania się „publicznym słowem" należy stosować broń Boże nie w jakimś ściśle zamkniętym kółku koleżków, lecz koniecznie w publicznym miejscu. A więc na ulicy, w tramwaju, w pociągu, w przedsionku kinowym, w poczekalni dworcowej itd.

Odnosi się czasami nawet wrażenie, że młodzianom niejako chodzi o to, aby jak największa ilość osób postronnych właśnie słyszała, jak to oni kunsztownie potrafią posługiwać się najbardziej wymyślną koprolalią. I żeby tym była na swoisty sposób „zbudowana".

Jest to pewnego rodzaju ekshibicjonizm, mający widocznie na celu „épater les bourgeois". Niech wszyscy wiedzą, jak to my potrafimy! Albośmy to jacy tacy...!?

Coś jednak z tym fantem trzeba zrobić. Pomoc tu może i szkoła, i rodzice (o ile o tym wiedzą), ale najprędzej chyba wszystkie organizacje młodzieżowe. Muszą one na tych młodzianów, często gęsto posiadających wyraźne mleko pod nosem, jakoś wpłynąć i starać się wprowadzić wśród nich pewnego rodzaju dyscyplinę słowną, czyli inaczej mówiąc — zamykać facetom gębę na kłódkę.

Chcesz „maciować", to se „maciuj" — ale w duchu! Publicznie natomiast nie wolno!

Jest to conditio, sine qua — w o n!!! *Niejaki X*

Uwaga! Pomimo podwyższenia c e n y pojedynczego egzemplarza, prenumerata „Odry" pozostała niezmieniona.

Ruch wydawniczy

BOLESŁAW (dobitnie): Rzeczą czeskiego księcia i czeskich biskupów jest czeskiej słuszności dokazować i czeską korzyść wychwalać. Rzeczą polskiego króla i polskich biskupów jest polską słuszność mieć na oku. Gorze takiemu państwu, którego dostojnicy dadzą się zdurzyć, że obca słuszność ma być miarą ich postępowania. Takimi sposoby nie przyjaźń między obcymi się ustanawia, tylko nienawiść między nimi się mnoży.

STANISŁAW: Czechów obcymi nie mieńcie, bo mowa ich jednaka prawie z naszą. Od nich wzięliśmy wiarę świętą, od nich patrona i męczennika.

BOLESŁAW: Kto dobro jakie dając, zbytniej zapłaty żąda, nie dobrodziejem jest a lichwnikiem bezecnym. A jednakowością mowy i obyczaju nie zamącajcie mi widzenia. Owo do zgody nie wystarcza.

Z dramatu Marii Dąbrowskiej „Bogumił i Stanisław", nakładem E. Kuthana, stron 107.

Eliza Orzeszkowa autorką dnia dzisiejszego. Wielkie powodzenie mają jej powieści wśród czytelników wszystkich warstw społecznych. Każde nowe wydanie jej książki witać trzeba z radością. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza" wydała na nowo najpiękniejszą powieść Orzeszkowej „Meir Ezofowicz" (2 tomy stron 204 + 219). Wstęp Juliana Krzyżanowskiego. Nakład 30.000! Brawo!

*

Dwa nowe dary „Czytelnika" — książka Stanisława Windakiewicza o Janie Kochanowskim, stron 202, i Henryka Szypera rzecz o Adamie Mickiewiczu, poecie i człowieku czynu, stron 224 + 5 ilustr. — znaleźć się winny w rękach każdego miłośnika literatury polskiej Praca Windakiewicza ukazuje się już w drugim wydaniu, rzecz Szypera jest nową monografią mickiewiczowską, uwzględniającą dotychczasowy stan badań nad Mickiewiczem i podnoszącą w życiu i w dziełach jego to, co znajduje szczególnie żywy oddźwięk w dzisiejszej naszej rzeczywistości społecznej i narodowej. Jak wszystkie wydawnictwa „Czytelnika" obie monografie odznaczają się piękną szatą zewnętrzną.

*

„Biblioteka Radiowego Instytutu Wydawniczego przeznaczoną jest dla wszystkich pragnących się uczyć. Zarówno dla tych, którzy mogą i potrafią ocenić olbrzymie korzyści, jakie wyciągnąć można z rozsądnego słuchania radia z programem w ręku jak i dla tych, którzy dobrodziejstw radia jeszcze nie znają: dla tych co dobrze rozumieją, że wiedza to najcenniejsze bogactwo, jakie zdobyć można, czynnik decydujący w życiu jednostek i w życiu narodów... RIW nie jest instytucją obliczoną na zyski. Cena książek jest więc najtańsza, aby była dostępna dla wszystkich". Radiowy Instytut Wydawniczy wydał dotąd dr Eugenii Stołyhwo „Nasi prarodzice", d-ra Józefa Sieradzkiego „Wędrówka po stuleciach" i Bol. Skarżyńskiego i Stanisława Skowrona „Przyroda tworzy człowieka". Cena książki, drukowanej na doskonałym papierze jest rzeczywiście zgodnie z zapowiedzią niska, nie przekracza bowiem dwustu złotych.

*

Termin „Młoda Polska", jak w ogóle zresztą godła prądów literackich: romantyzm, realizm, symbolizm, nie może sobie rościć pretensji do matematycznej ścisłości. Stosuje się go zresztą rozmaicie. Raz, zwłaszcza jako przymiotnik, służy potocznie do określenia — czasem drwiącego — pewnego sposobu odczuwania, pewnej maniery, nawyku, wyolbrzymiania dość nikłych czasem i wątpliwych przeżyć... Potocznie określa się pojęciem Młodej Polski pisarzy skupiających się dokoła krakowskiego „Życia", potem koło „Chimery". Ale w najogólniejszym pojęciu Młoda Polska to byłby po prostu cały okres naszej literatury, zespół pisarzy urodzonych prawie bez wyjątku po r. 1863, przeważnie koło 1870, którzy zjawili się między rokiem 1890 a 1910.

Ze wstępu Tadeusza Żeleńskiego (Boya) do doskonałej, przez niego opracowanej antologii Młodej Polski, nakład Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, bez daty, stron LVI + 474.

Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik" Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12. Tel. 31059

R 30024